

# MIASTO szesnastolatków



Fot. J. Maniecki

Zjawisko typowe dla tych ziem, typowe zresztą dla każdego okresu czasu, w którym następuje odrodzenie ekonomiczne, jednak w podobnym nasileniu nie występuje w żadnej pozostałej części Polski. Młodzi, ponad sześćdziesiąt procent ludności stanowi młodzież do lat szesnastu. Nie darmo o Wrocławiu śpiewa się piosenki, że jest „miastem zieleni i młodości”. Przedstawiam oto jedno z wielu miast szesnastolatków: Kamienną Górę. Okazuje się, że dla jego mieszkańców, zrozumienie i wyrozumiałość. To młode miasto, pomimo swojej długowiecznej historii, i dopiero uczy się życia. Dopiero się wychowuje. A to droga niełatwa: wychować miasto.

Stacja Kamienna Góra. Nie wolno zabiegać ani zaspać: pociąg stoi na niej trzy minuty. Charakterystyczny styl budownictwa —

masywny budynek dworcowy z czerwonej cegły. Znacząco podobne z wędrowek po Mazurach. Widzicie go już, prawda? — Przechodzi się przez dwa perony, potem przez brudną i ciemną oczekalnię, i kamiennymi schodami, zdeptanymi jak stary pantofel, schodzi się do biegnącej w dół ulicy. Na tych kamiennych schodach dworcowych, jeżeli przyjechaliście w dzień, a nie daj Boże w niedzielę — wita was gromada dzieci. Czy ich? — A bo ja wiem? Może zawiadowcy stacji, może tej uprzejmej pani, która sprzedaje gazety i mydelka w pobliskim kiosku Ruchu, może taksówkarza, który czeka na pasażera w swojej „Warszawie”, może pracowników hotelu — bo hotel jest tuż-tuż — wyjątkowo czysty i przyjemny, tylko nie pukajcie doń przed godziną ósmą rano: dyżurni mają sen kamienny i

żadne moce piekielne nie są w stanie go przerwać — a może po prostu to dzieci tutejsze, kamiennogórskie, przyszyły „spotkać pociąg”? Dzieci są ciekawe — a dworzec kolejowy: to wyjście na świat.

Zresztą, kto by tam zwracał uwagę na dzieci? — prawdopodobnie nawet wam na myśl nie przyjdzie, że jest ich aż tyle w tym mieście: jedenaście tysięcy na niepełne dwadzieścia tysięcy wszystkich mieszkańców. Ale dzieci wszędzie spotkacie dużo, szczególnie zaś wtedy, gdy dopisuje słoneczna pogoda. A was tutaj zafascynowało miasto: ulice, uliczki, zaułki, pokręcone, poplątane, jakby bawiły się w berka; renesansowy rynek z wąskimi kamieniczkami, przyglądacie się

Dokończenie na str. 2



Tę piękną dziewczynę znajdziecie także na str. 12.

NINIEJSZY NUMER ZAWIERA 12 BARDZO CIEKAWYCH STRON



TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 15. VII. 62 r.

Nr 28 (228)

Cena 1 zł

ANDRZEJ WIESŁAWSKI

## ZWARIOWANE historie z podróży

Narażam się poważnie siadając do autobusu, który pokaże mi Lubelszczyznę. Narażam się na poważne wzruszenia. To ojczyzna mojego przyjaciela. Syna ubożego telefonisty z Frampola. Studiując jego życiowy dowiedziałem się, iż w czasach sanacji telefonista-ojciec nieraz dzielił śrubkę na czworo, by wyżywić rodzinę. Mój przyjaciel marzył, by zostać filmowcem. Sam opowiada, że nocą zakradł się pod oświetlone okna dworu i patrzył w niego jak w ekran. A za oknami PAN schodził z salonu do kuchni i dobierał się do pokójki. W ten sposób mój przyjaciel zobaczył żywe obrazy moralności. Dziś jest filmowcem, ale kręci sobie inaczej.

A to o parowozach, a to o koparce przedsiębiornej, zasierżutnej. I nie ze wspomnień! A ojciec jest naczelnikiem telefonów. Tylko ziemia lubelska pozostała niezmienną, choć częściowo zmieniła właściciela. Nurzając się w takich rozmyślaniach przyjeżdżam do Zwierzyńca. Autobus psuje się przed browarem, gdzie kilku moich towarzyszy psuje się do reszty, po czym odwiedzamy hrabinę Różę Potocką. Nie są to odwiedzin, które nastroją do żartów. Miła, inteligentna pani zajmuje się bezdomnymi zwierzętami. W tej chwili ma w swoim mieszkaniu osiem kotów i dwa psy. Liczyła ta sięgająca 30 i więcej. Koty bardziej dzielnie trzyma w klatce w

ogródku. Walczy z torturowaniem zwierząt przez dzieci, dorosłych i o nowoczesne metody uboju. Jak BB pisze listy do władz. Ma pod kępą krzewów mały cmentarz swych zwierzątek. Na jednym z nagrobków napisano: „Lejbus”. To pies jej 17-letniego syna, który zmarł w 1937 roku. Pies zdechł z tęsknoty. Nie chciał jeść.

Po śmierci córki Hrabina została sama. Ze zwierzętami i ludźmi. Zwierzęta utrzymuje za to, co otrzymała ze sprzedaży paczek od przyjaciół z zagranicy.

Kiedy gajowy pięć razy strzelał do konia ze złamaną nogą, zamiast strzelić od razu za ucho, posłał do komunistów i zameldował. Interweniowali natychmiast!

Mówi tak zawsze: „Komuniści!... komuniści to miejscowa organizacja partyjna, Gminna Rada Narodowa, słowem — władza...”

— Bo komuniści są tu porządni. Kindersztuba ordynacji Zamojskich, wiadomo! Hrabina pisze list. Do premiera w sprawie ziemi. Ma mały ładny dom, ale ziemia, na której stoi, nie należy do niej. Pisze też w sprawie dręczenia zwierząt do prezesa Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Pan prezes odpowiada:

Szarowna Pani Hrabino... Duch rycerski w narodzie nie zagał! Nie napisał: obywatelko hrabino...

Z „kolosalnie mieszanymi” uczuciami opuszczamy rezydencję Róży Potockiej w Zwierzyńcu nad Wieprzem. Jej ojciec Władysław Lubomirski — jak opowiada — wiele zdziałał dla kultury tego kraju. W chwili życiowego startu wspomagał Grzegorza Fitelberga i Artura Rubinsteina. Córce po-



Przed ratuszem w Zamościu

Fot. W. Machejko

Dalszy ciąg na str. 5

ANDRZEJ BRYCHT

## SAMOTNY W ŚREDNIOWIECZU

Przypowieść współczesna

Rzadko zdarzają się młodym nauczycielom takie przygody, jakie spotkały Palikowskiego już w pierwszym roku jego samodzielnej, zawodowej pracy. Rzadko, coraz rzadziej. Ale może jeszcze któremu się przydarzą? Więc opiszmy przygodę Palikowskiego ku powszechnej przestrodze, może choć to na coś się przyda. Młody Palikowski, po ukończeniu liceum pedagogicznego, przywędrował do K. w województwie łódzkim. Mógł jechać gdzie indziej, ale wybrał K., bo — powiada — myślę sobie, naród tu czysty, sumienny, oszczędny, gospodarny, dobrze mi będzie żyć. I osiedlił się w K.

Maleńkie to jest miasteczko, tuż na pograniczu po-

jęć: osiedle, wieś, miasto. Ni to, ni owo. Mieszkańców parę setek zaledwie, gospoda, kilka, kilka dobrze zaopatrzonych sklepów, kilka porządnie wymięzionych ubc. Ale i chaty słomą kryte, ale i ziemia gnojem nawożona tuż przy głównej ulicy, tuż przy nowych, murowanych domach. Ciekawie — pomyślał Palikowski — zderzać się tu będzie mentalność ludzi zapatrzonych w dawne, z mentalnością współczesnych, świadomych. Bo Palikowski myślał szablonami, których go w szkole uczono. Bo zdawało mu się, że w chałupie ze słomianą strzechą ludzie mieszkają ciemni, a w murowaniu pod dachówką oświeceni, świadomi, aż strach.

Tymczasem życie Pall-

kowskiemu lepszą szkołę dało, niż jego dawna, pedagogiczna szkoła.

Kupił sobie Palikowski rower, na rowerze po okolicy w wolnych chwilach jeździł. Zaglądał do mieszkań swoich uczniów, rozmawiał z rodzicami. Wszystko, żeby podnieść wyniki nauczania, zacieśnić więź domu ze szkołą, wszystko, jak go uczono.

Ale rodzicom (nie mówiąc już o dzieciach) nie w smak były te nauczycielowe najeżdzy. Coraz mniej chętnie z nim rozmawiali, zamykali przed nosem drzwi, udawali, że nikogo w domu nie ma.

Uczniowie — nie orły, nigdy za dobrze się nie uczyli, a teraz, gdy ujrzeli świadomy swych rodziców przeciw-

szkole opór, jeszcze bardziej zlekceważyli swoje obowiązki. Zaczął się Palikowski de nerwować, rezon stracił. Rędził się starych nauczycieli, z którym pracował, co ma robić, żeby było dobrze. — Zeby było dobrze? — odparł mu, To nie nie robić. Nie.

Czuł w powietrzu Palikowski jakąś tajemnicę. Działo się coś niedobrego w K. Ale co? Tego się nie mógł dowiedzieć.

Chodził po mieście, zastępiał nieufnych ludzi. Na raz mowy wyciągał. Ale czym bardziej nagabywał, tym mocniej się krył w milczeniu, więcej się przed nim zamykali. Czuł ich rosnącą do niego nienawiść. Tak,

Dalszy ciąg na str. 5



# Antyimieniny miasta

Nie spotkałem się jeszcze z wypadkiem, aby komuś z okazji jego własnych imienin przyszła biesiadnica nawymyślać — ale zamierzam to właśnie wypraktykować. Z okazji przeświatnych imienin podwawelskiego grodu, zwanych popularnie „Dniami Krakowa”, odbywających się przy akompaniamencie wylatujących w powietrze kolorowych rac, puszczania wianków Wisła i harców samego Lajkonika. Brałem w nich udział, ale — używając bardzo popularnej inwersji — były to raczej antyimieniny. Uważam zatem, że to dobrze, bo Kraków pośród setek innych „Dni Olszusa”, „Dni Morza”, „Dni Opola”, „Dni Grybowa” zachował jednak własne oblicze. Zaspęcznie wprowadzi znacznie dekoracjami, ale tylko dzięki temu, że ów gród zafundował sobie niedawno stanowisko „plastyka miejskiego”. Jednym niebezpiecznym męczycielem, który powołał tego administratora dla zapewnienia bujnego rozwoju sztukiom dostali kolejnego przytacza w nos. Plastik bowiem w try miła zarządzając i zapaskudził ulice, jak nigdy drzewiej nie bywało.

Wprawdzie ktoś pod hełmem obwieszającym otwarcie uroczystości zasmiał się trzy razy — nikt nie wysnuwał z tego przerażających horoskopów. Koń też ma prawo się śmiać. Zwłaszcza, że zaraz za nim maszerował pochód z kukłami, które miały rzekomo przedstawiać najpopularniejsze postaci krakowskiego świata. Niestety, podobieństwa były tak odległe, a zamierzenie koncepcyjne tak niedowcipne — że ów śmiech konia należy poczytać za wyjątkową wrecz uprzejmość. Okazuje się bowiem, że organizatorzy wynajęli do zrobienia kukiel jakiegoś urzędnika teatralnego, bo rzekomo plastik żądał za dużo pieniędzy... Tak więc wesoło w zamierzeniu rozpoczecie przyjęliśmy śmiertelnie poważnie, czekając rozwoju wypadków. Jako się stało.

Dnia następnego była noc. Kupaly i tłumy ścignęły pod Wawel na wianki. Tutaj jednak czekało nas rozczarowanie, bo opłuta przez pokolenia dziennikarzy impreza, która nigdy nie trzymała się kupy — nagle okazała się wprawdzie nie rewelacyjna, ale sensowna. Widowisko przesłaniające na galarach, rżnięcie do wody pływającego Kupala, taniec wokół Światowłoda — przy akompaniamencie muzyki i recytacji czterech wieszczów z Norwidem jako dokooptowanym. Potem był smok, który z księżycewym okiem zsunął się po sznurku ze wzgórze wawelskiego, aby zatrzymać się w polowie drogi nad samą taflą wody. Właśnie płynęły wianki i smokowi groziło spalanie. Wycofano go przy pomocy sznurka, dając świadectwo prawdy, że od wianka jeszcze nikt nie zginął. Potem był nudny pływający koncert reklamowy, który trochę zmudził naród, aż wreszcie wytręsnęły pod niebo racy, kolorowe i bajeczne Piętnaście minut tzw. feerii blasków i kolorów. Warto było to oglądać za 10 złotych od łebka.

W niedzielę nastąpił podział zasadniczy. Jedni poszli na tańce, drudzy na ucztę czyli na Międzynarodowy Turniej Tańca Towarzystwa, lub do „Wierzyńki” na Uciek Królów. Ponieważ tańca wszędzie, a ucztę królewskie odbywała się z rzadka w ostatnich czasach — omyślnie ucztę wierzyńskiej wypada pochwalić, tym bardziej że jego autorem był mój przyjaciel i laureat „Odgłosów” Stefan Bratkowski. A pomyślnie polegał na tym, żeby w rozwiązaniu do tradycji sławnej ucztę u Wierzyńki z 1884 roku zorganizować biesiadę dla uczczenia królów opinii publicznej — czyli laureatów pie-

bisytów prasowych, najpopularniejszych ludzi w Polsce. Imc pan Mikołaj Wierzynek w niebieskich dani sobie wiośsy z głowy i wołał „gerze mi!” — jak wyborna ucztę przygotował mistrz Kałuża. Poszedł bowiem inną drogą — mianowicie przyklepał wiekszą wagę do zawartości niż do talerzów, niż do samych talerzy (Wierzynek ongi rozdał złote talerze swoim królewskim biesiadnikom). O miakaniu, przemowieniach w stylu staropolskim, o ombrach, koldunach, pieczemach, indykach i innych frykasach sporo by pisać. Z tym jednak, że mimo wszystko nie była to impreza organizowana przez „Dni Krakowa”, ani tym bardziej masowa. I ja tam byłem, miód i wino piłem... Tak więc, drodzy leodziecie uczestniczyliście w ucztę królów poprzez swoich przedstawicieli.

Powracając do antyimienin chciałem się jeszcze pozachycić naprawdę świetną insceniacją, zytuowaną „Złoty wiek”, która zaprezentowano po zroku na dziedzińcu wawelskim. Wspomniałem stroje z epoki renesansu, dostojny taniec, wspaniała poezja Kochanowskiego i proza Łukieza Górnickiego. Gra warta była świeczki, a raczej pochodni, że smolnym luzycywnem, które pacholkowo nosili po krzyżgankach wawelskiego dziedzińca.

Ładne to było, ale za mało, by usprawiedliwić pełną nazwę tych uroczystości: Festiwal Sztuki „Dni Krakowa”. Pardon, był jeszcze Festiwal Filmów Krótkometrażowych o nagrodę „Smoka wawelskiego” i Lajkonik. Konkurs — aczkolwiek świetnie zorganizowany nie przyniósł rewelacji. Lajkonik był taki jak zwykle — a raczej trudniejszy, bo zupełnie trzeźwy. Był jeszcze teatr na wozie, w którym nikt nie wiedział o co chodzi, ale wszyscy chętnie na to patrzyli — bo za darmo. Był także Siemion z „Wieża malowana” i na tym koniec.

Od lat toczy się w Krakowie dyskusja, jak urządzić te imieniny miasta. Powołano nawet komisje artystyczne — tyle tylko, że nikt jej nie słucha, bo zaomniawo ustalili jej kompetencje. Poza jedną, gdy grał zarzucono się na głowę organizatorów, oni wówczas odwołują wszystkie osy na Boga i ich winna komisje. Ładne urzadzienie, prawda? Bo jak można sobie wyobrazić „Dni Krakowa” bez wielkich imprez masowych, bez stworzenia odświeżonej aury baśniowych pochodów, koncertów na uroczystych dziedzińcach, takich żywych zachów, wdo-wiska na balkonach Sukienic, bez teatru w Barbakanie... Wydawałoby się logiczne, że w imieniny miasta winni radować się wszyscy. A tak radują się tylko wrogowie panów organizatorów, do których ja absolutnie nie mam zaszczytu się zaliczać. Wiele dale u-tylko wyraz swoim cierpieniem.

Byłbym na śmierć zapomniał o jeszcze jednej osobno-polskiej imprezie — czyli o konkursie i kiermaszu pamiątkarstwa. Urządzono kiermasz na parkingu autobusów — widocznie dla tego, że niwiersza nagroda wzięła stałe i zaczęła zaczarowanej dorożki. Autobusy też były zasłużone i pamiątkowe. A pamiątki były do... Musiałbym oszaleć, żeby kupować sobie takie namalowane. Nie był to co prawda klasyczny odrost w Straszogrodzie, ale „osonaty miały niewiele wspólnego z pamiątkami. Wszystko miślerne, kruche, rozleci się jeszcze zanim turysta doczłapie do dworca. Wiele dalej szerząca się ciunagi i lenie.

Oto dlaczego imieniny nazywam antyimieninami. Bo chociaż dano nieźle jeść u Wierzyńki — wszystko wypadło na opak. Akurat odwrotność, niż wszyscy się spodzielali. Minęły „Dni Krakowa”, pozbiierano wszystkie rekwizyty i dekoracje, nastął dzień woszedni, czyli dzień jak co dzień. Wówczas to okazało się, że Kraków, to jednak bardzo piękne i urocze miasto. Przysięgam! Odwiedzajcie Kraków!



Kamienna Góra Plac Wolności

# MIASTO SZESNASTOLATKÓW

Dokończenie ze str. 1

ich fasadom, elewacjom, i... rusztowaniom — aha! — więc i tu restauruje się za-bytki. Rozglądacie się po wystawach, sklepach — są nowoczesne, dobrze zaopatrzono, eleganckie, i komiś po drodze się znajdzie, jednak, niestety, kaprony kosztują w nim sto złotych, nie taniej. Samoobstugowa kawiarnia zadziwia estetyką wnętrza. Westchnienie: przydałaby się taka w Łodzi. Trawniki, kwiatniki, budki telefoniczne, pastoje taksówek. Miasto powiatowe? — A kudy do niego naszym Łaskom czy Brzezinom? Swójsko i narodowo poczucie się dopiero w restauracjach. Jedna, owszem, owszem, nawet czysta, ale „Jedwabiu” mają porobić takie sądy, jak nasz. Bo na razie, to u nich są trójki. Co tu dużo gadać, niektóre są papierkowe. Nie powiem, żeby zawsze, ale to tak jest, kolega do swego na rękę pójdzcie. I jeszcze co innego. W takiej trójce są sami robotnicy, nie? Bo to robotnicze trójki przeciw pijaństwu, a czy to tylko sami robotnicy piją? Góra niby nie? Też potrafi zalać się dobrze, i awanturować się niczym prosty naród. Ale, jak tu skargę na swego inżyniera na przykład wnieść? Władza chody ma, jeszcze z roboty wysiuda? — Strach. No, to te trójki się boją zaciepić takich z góry. A sąd — to już co innego. To brzmi. Powagę swoją ma. To się ceni!”

Robotnicze trójki do walki z alkoholizmem zostały powołane z inicjatywą Komitetu Powiatowego Partii. Nie działają jeszcze tak, jak powinny, nie trafiają wszędzie, gdzie ich obecność i interwencja są konieczne, nie posiadają zorganizowanej działalności profilaktycznej. Zdarza się też i tak, że „co tu dużo gadać, nie zaciepiją osoby wyżej postawionej od robotnika. Boją się”. Dlatego Komitet Powiatowy dąży do zorganizowania we wszystkich większych zakładach przemysłowych Kamiennej Góry robotniczych sądów społecznych. Obok nich, trójki robotnicze będą dalej pełniły swoją funkcję koleżeńską kontroli i interwencji.

„Ale — trójki też mają „osiągnięcia”, chociaż — „wolelibyśmy ich nie mieć” — twierdzi produująca trójka z Zakładów „Len”. W ciągu roku 1961 i pierwszego kwartału 1962 roku przeprowadziła dwadzieścia osiem rozpraw przeciwko chuliganom i pijakom, w wyniku których dwanaście osób, w tym jeden pracownik umysłowy, ob. S., zostało zwolnionych dyscyplinarnie z pracy.

„Jaka rada? Mądrzy powinni coś wymyśleć. U nas, w Do-Fa-Mie, sąd mamy. Społeczny Sąd Robotniczy — tak się to nazywa. Do różnorodnych spraw. Do pijaństwa też. Ten sąd, to jeszcze taki przedszkolak. Młody. Półtora roku sobie liczy. Ale, już coś czterdzieści spraw zrobił. Na początku to ludzie się śmiali. Też mi sąd! — wstać, sąd idzie — nabijali się z tych, co w nim siedzą, bo to wszystko znajomi, po fachu, z jednej fabryki. No, ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, nie? Jak jednemu z drugim premię sąd obciął, to już nie w nos było. A jak wywalił jednego z roboty, to szacunek i posłuch. Żartów nie ma. Fabryczny sąd — też władza. Ja tam myślę, że ten sąd to jeszcze za łagodny jest. Bo jak karać, to karać. Człowiek, wiadomo: jak taki dzieciak, — jak go się dobrze nie postraszy, to dalej swoje robi.

Słyszcie, że w „Lnie” i w „Jedwabiu” mają porobić takie sądy, jak nasz. Bo na razie, to u nich są trójki. Co tu dużo gadać, niektóre są papierkowe. Nie powiem, żeby zawsze, ale to tak jest, kolega do swego na rękę pójdzcie. I jeszcze co innego. W takiej trójce są sami robotnicy, nie? Bo to robotnicze trójki przeciw pijaństwu, a czy to tylko sami robotnicy piją? Góra niby nie? Też potrafi zalać się dobrze, i awanturować się niczym prosty naród. Ale, jak tu skargę na swego inżyniera na przykład wnieść? Władza chody ma, jeszcze z roboty wysiuda? — Strach. No, to te trójki się boją zaciepić takich z góry. A sąd — to już co innego. To brzmi. Powagę swoją ma. To się ceni!”

Kilkanaście lat wstecz do miasto było bez życia. Dużo by dali pewni politycy europejscy, aby takim zostało: martwym cmentarzem, nie zagospodarowanym ugorem. Pomyślcie — Kilkanaście lat temu po tych, tak bardzo teraz kolorowych ulicach, wałęsał się wiatr i targał framugami pustych okien. I popatrzyście — ślady wojny zostały dawno zatarte. Tak, wojna była dawno. Ziemia została dawno odzyskana. Wszędzie teraz ludzie. Każde okno każdego domu ma swego właściciela. Powstały szkoły, instytucje, zbudowano fabryki. Sześć dużych fabryk uruchomiono. A jeszcze kilkanaście lat temu — nie było tu nic.

Więc pomyślcie nad tym wszystkim. Bądźcie sprawiedliwi w ocenie miasta. No i ludzi, jego mieszkańców. Oni są podstawa miasta, bez ich udziału nie ruszyłyby sześć fabryk, nie byłoby sklepów, szkół, urzędów ani tych domów. Bo dom bez mieszkańców niszczy, rozpływa się w gruzy.

Tylko kilkanaście lat. Przyjeżdżali tu ludzie „na nowe”. Jedni — po swojej ziemi obiecanej. Inni, na szczęście takich było mniej i przewalili się szybko, chociaż jak szarańcza — w poszukiwaniu walizek „z biżutami”. Pierwsi zostali, powyciągali swoje dziurawe garnki, stare pierzyny, odmalowali ściany w mieszkaniach, założyli firanki, zasadzili trzykroćki, powoli zapominali o pozostawionych gdzieś daleko „swoich stronach” i szewcach Szymadach. I nie od razu „dorobili się” radia na cztery klawisze.

Kilkanaście lat — to dużo czasu. Ale i mało. Bardzo mało na to, aby wychować miasto. Bo dla ludzi, „na prowizorkę” wystarczyły byle dach nad głową i koldra do przykrycia. A tu nie chodziło przecież o „prowizorkę”. Chodziło o solidny dach dla wszystkich.

Należało w ciągu kilkunastu lat zbudować dom dla całego miasta. I to zostało wypełnione. Ale w tym wspólnym domu brakuje jeszcze wielu rzeczy. Sami wiemy, jak to jest z nowym mieszkaniem. Czeka się nań długo, niecierpliwie, ciula się grosz do grosza, oszczędza, i wreszcie dostaje się upragnione klucze. Ale w nowych ścianach stare meble zaczynają razić — trzeba je zmieniać, bo nie pasują, trzeba zacząć oszczędzać na nowe. I znowu zaczyna się praca.

Ziemia obiecana dla wielu tysięcy stała się domem mieszkalnym. Jak każdy dom, ma swoje zmartwienia i kłopoty. No cóż, turysta będzie się zżywał na ka-

W spółdzielni krawieckiej na skutek interwencji trójki robotniczej doczekał się zwolnienia za pijaństwo... portier spółdzielni. Ogółem w rejestrach trójek zanotowano: 161 spraw (1961 r.), z czego: w 158 wypadkach zawyroковано o winie (136 pracowników fizycznych i 22 umysłowych) i pociągnięto do odpowiedzialności karnej.

Miasto jest młode. Trzeba je wychować. Trzeba je nauczyć. Trudne zadanie. A termin — krótki. Nie przewiduje czasu na repetycje czy poprawki. Egzaminu muszą być zdane w określonym terminie. Odwołajcie się. Jednak zastanówcie się: ile tu zostało już zrobione? Ile jeszcze należy zrobić?

miennogórską gastronomię, która mu trzy razy dziennie na śniadanie, obiady i kolacje — oferuje narodowy schaboszczak z porcją musztardy „za złoty pięćdziesiąt” do smaku. Jednak nabijanie gości w butelkę to zmartwienie najmniejszego kalibru.

Bo może, wśród tych, bawiących się na schodach dworca dzieci, było jedno z tej liczby? — Z liczby dwustu dzieci „moralnie zaniedbanych”? Przypatrzcie się więc uważnie przechodzącym. „Ludzie jak ludzie. Dzieci jak dzieci”. I te moralnie zaniedbane nie są zjawiskiem osobobionym. Wszędzie, w każdym mieście Polski się takie spotyka. Ale dla Kamiennej Góry, w której prawie trzy czwarte mieszkańców stanowi młodzież, dzieci są szczególnym obiektem troski i niepokoju. To nie frazes, że są one przyszłością tego miasta. Za dużo ich — jedenaście tysięcy — aby można było

zżyć niefrasobliwym wzruszeniem ramion: frazes! Aby można było sprowadzić jedenaście tysięcy do rzędu pospolitego banalu. Więc nie frazes, że Kamienna Góra — to miasto szesnastolatków.

Ośrodek Propagandy Komitetu Powiatowego Partii przeprowadził siedemdziesiąt rozmów z opiekunami i rodzicami dzieci wyrzuconych na margines życia społecznego. Raporty MO wskazują na tendencję wzrostu przestępczości wśród nieletnich. 1960 rok — 56 przestępstw. 1961 — 63. Do najczęściej popełnianych należą: włamania do kiosków, kradzieże, podpalania. 90 procent wszystkich przestępstw w powiecie kamienogórskim dokonują nieletni. Wśród nich znajdują się dzieci do lat ośmiu, największy odsetek przypada na wiek od dziesięciu do dwunastu lat: 38,1 proc. A oto kilka przykładów sytuacji „rodzinnych” dzieci wykojeonych.

Pewien „ojciec” zobowiązał się wobec Sądu i Wydziału Oświaty do opieki nad swymi dziećmi. Wkrótce ucieki, podruczając dziecku starej babce. Pewna pani ma syna z jednym znajomym, i dwoje dzieci z drugim, z którym aktualnie „jest”. Pierwsze dziecko chce umieścić w Domu Dziecka. Znajomy nie zgadza się na jego pobyt w domu. Inna pani ma troje dzieci, każde nazywa się inaczej. Co pewien okres czasu po prostu podruca dzieci do Domu Dziecka, lub w ogóle zostawia je bez opieki. Inna kobieta ma wspólnie ze swoją szesnastoletnią córką kochanka. Inna zgłosiła swego dwunastoletniego syna do Domu Dziecka. Powód? — Zły charakter. Szczegóły? — Syn pyta, „bezczelny” — „dlaczego codziennie inni panowie śpiją z mamusią?”. W jeszcze innym wypadku — „znajomy” matki nie zgadza się na obecność w domu jej piętnastoletniej córki. Matka stara się o umieszczenie jej w Domu Dziecka — „bo tak czy inaczej, muszę się jej pozbyć”.

Z takich rodzin wywodzą się dzieci „moralnie zaniedbane”. Jest ich dwieście w Kamiennej Górze. Przeliczając na procenty w stosunku do jedenastu tysięcy młodzieży — to odsetek stosunkowo znikomym. Ale w Kamiennej Górze władze nie przeliczają ludzi na odsetki. „Człowiek to nie cyfra, ani numer” — powiedział kierownik Wydziału Kultury, Witold Jamont — nasze miasto powinno być domem dla wszystkich.

EWA CSTRAWSKA



# Smok wawelski zionie... siarką

„Pływak skacze z trampoliny — kilku sędziów punktuje styl skoku. Na ringu walczy dwóch bokserów — ocena wymiany ciosów dokonana przez pięciu sędziów ringowych różni się od siebie czasem dość zasadniczo. Można wymierzyć długość skoku narciarza — i będzie to ocena bezwzględna, jako że złoty wzorec metra znajduje się na razie w swoim miejscu, w skarbcu. Ale już sprawa oceny stylu tego skoku budzić może nieporozumienia i prowadzić do poważnych rozbieżności.

A cóż dopiero, gdy wkroczyliśmy w subtelną i pełną niuansów dziedzinę spraw artystycznych! W dziedzinie, w której trudno operować metrem, wagą i menzurką. Tu właściwie oprócz się musimy o subiektywny osąd, o odczucie „sędziującego”. Musimy uwierzyć mu na słowo i bez dyskusji, musimy przyjąć jego wyrok z wiarą w dobrą wolę i uczciwość, z przekonaniem, że odpowiednio władze powołały na sędziów odpowiednio kompetentne osoby.

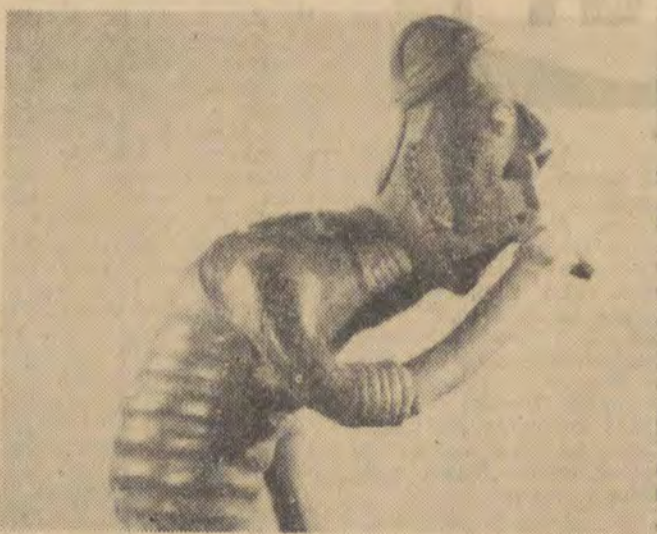
Czy rzeczywiście?

Zamiast „sędzią” mówimy „juror”. Tak jest ładniej i poważniej. Zamiast „zawodnik” — mówimy: Wytwórnia Filmów Dokumentalnych. Albo: Wytwórnia Filmów Oświatowych. Albo: Semafor. Albo Miniatury. Zamiast „ring wolny” — powiedzmy „Festiwal Filmów Krótkometrażowych rozpoczęty”.

Przepraszam za tę sportową terminologię. Zostałom do niej sprowokowana wyowiedziami niektórych jurorów podczas krakowskiego Festiwalu, kiedy to dziennikarzom przybyłym z całego kraju odczytano ostateczne wyniki. Oczywiście, zawsze znajdują się ludzie, którzy posiadają odmienne opinie i zawsze znajdują się tacy, którzy decyzje innych będą

kwestionowali. Rzadko jednakże się zdarza, aby szereg dziennikarzy generalnie kwestionowało CAŁY zestaw nagród, przyznanych przez jury II Festiwalu. Tu nie chodzi o pojedynczą rozbieżność zdań, tu chodzi o sprawy zasadnicze. Podpisuję się w pełni pod wszelkimi pozytywnymi uwagami na temat organizacji imprezy, jej znaczenia i, potrzeby — czas jednak uczciwie powiedzieć sobie o pewnych, nieprzyjemnych być może problemach. Po to, aby w przyszłości lepiej i słuszniej je rozwiązywać.

Ktoś może na to powiedzieć: nie podobają ci się



Kadr z filmu WFO reż. J. Brzozowskiego „Sztuka meksykańska”

decyzje jury? Dlaczego? Spróbujcie to uzasadnić.

Odpowiem: nie, nie mogę. Nie mogę przeprowadzić żadnej rozsądnej dyskusji z ocenami jurorów. Nie mogę tego uczynić z bardzo prostego powodu: ponieważ nie wiem, czym się kierowano, co brano pod uwagę, co decydowało o takich a nie innych wynikach. Przeto ja będę rozważała sprawę scenariusza, jego budowy i dramaturgii — a jury odpowie mi: przepraszamy, myśmy wcale dramaturgii nie braliśmy pod uwagę. Ja zaczynam się zastanawiać nad społeczną przydatnością filmu — a jurorzy odrzekną: reżyser kłsi-

ski świetnie operuje zestawami czerwonych i granatowych kolorów. No i tak ja o jednym, oni o drugim, zaś wiadomo, że trudno się w takich warunkach dogadać. Rzecz bowiem w tym, że nikt nie wie, czym się jury kierowało, jakie stosowało kryteria i jaka jest motywacja ocen. Nikt nie wie — a na pytania w tym względzie zadawane, dziennikarze otrzymali następujące odpowiedzi:

1. Oceny artystyczne nie są wymierne. To nie skok do wody ani mecz piłkarski.

2. Trudno byłoby ustalić jakiegokolwiek obowiązujące kryteria, bo w jury było 10

więcej kosztuje krakowski Festiwal. A szczególnie — nie wtedy, kiedy chodzi o ambicje, wysiłek i pracę setek ludzi, reżyserów, scenografów, operatorów, redaktorów, elektryków, animatorów z sześciu Wytwórni! Nie wtedy, kiedy ogromna część spośród nich czuje się poważnie pokrzywdzona!

Grand Prix Festiwalu otrzymała „Noe” Makarczyńskiego, zrealizowana w Dokumentumie. Nie kwestionuję wartości tego humanistycznego, antywojennego obrazu, powiedzmy sobie jednak, że na nagrodę tę zasłużył chyba w większym stopniu „Czarodziej” tego samego autora — zrealizowany jednak w „Semaforze”. Film, który jest nie tylko antymilitarnym plakatem, ale porusza ważny, społeczny i wychowawczy problem, który operuje bardzo ciekawą gamą środków artystycznych. Jeżeli chodzi i o te liczne reprezentowane na Festiwalu grupe filmów antywojennych — to czemuż nie znalazł uznania w oczach jurorów świetny „Cmentarz Remu” Elera, wyprodukowany również przez Semafor? Nieporozumieniem wydają się być nagrody w dziedzinie filmu oświatowego. Czy „Pierwszy krok” Karabasza to film „oświatowy”? Czy „Ulthima Thule” Mirzeza — to „film oświatowy”? Ja nie oceniam tutaj tych istotnie wartościowych pozycji, zastanawiam się tylko nad ich zakwalifikowaniem. Zakwalifikowaniem, które w efekcie doprowadziło do tego, że pominięto w ocenach jury prawie całą produkcję WFO. Ogromne zastrzeżenia musi również budzić nagroda w dziedzinie filmów dla dzieci. Otrzymała ją „Kulisy bajki” Kadena (Dokument). Otóż, pomijając już fakt, iż tego typu film („Teatr lalek”) wyprodukowany w WFO jakiegoś sześć lat temu — to czy rzeczywiście dzieciom należały ten film pokazywać? Przecież gruntuje odzieranie je z tzw. złudzeń — dziecko myśli, że w teatrze rzeczywiście spotka swoich ukochanych bohaterów — a tu widzi nagłe, iż to wszystko loba i kant, a za uroczą laleczką ukrywa się dwóch starszych facetów za pieniądze poruszających mecha-



Kadr z filmu WFD reż. J. Lomnickiego „Kolorowy świat”

nizmem... Żarty na bok — „Kulisy bajki” to dobry film, ale film wybitnie dla dorosłych.

A już nagroda w dziedzinie filmów animowanych — to nie sprawa dyskusyjna, lecz raczej bezdyskusyjna. „Gorycz” Weisera grzeszy wtórnością i pretensjonalnością, prawdopodobnie ma walczyć z alkoholizmem, lecz nie jest to całkiem pewne, bo nie bardzo można zrozumieć, o co realizatorom chodziło. Pominięto natomiast doskonały i naprawdę przydatny społecznie film Żukowskiego, zrealizowany w WFO i mówiący sugestywnie o skutkach alkoholizmu — pt. „Za winy niepopelnione”. Pominięto wśród grupy filmów animowanych tak świetny, satyryczny, doskonale zrobiony obrazek jak „Niezwykła kariera” Wilkosa (Semafor). I tak dalej, i tak dalej.

Warszawski Dokument wywołał z Festiwalu 8 czy 9 nagród, Łódzka WFO — 2 a Semafor — jedną. Jednakże wbrew opinii p. Wandę Wertenstein, przedstawicielki Dokumentu, która na konferencji prasowej tej Wytwórni przewidziała proroczo ów wynik — skłonna jestem twierdzić, że w po-

rownaniu z rokiem ubiegłym Dokument zdecydowanie obniżył loty, zaprezentował kilka tzw. chał i niezbyt wiele rewelacji. Natomiast bardzo starannie przygotowała swój zestaw WFO, zaś prawdziwą niespodzianką sprawił Semafor. Niestety, z decyzjami jury trudno dyskutować, skoro ich motywacje okryte są mgłą tajemnicy...

Jakiż z tego wszystkiego wniosek? Chyba taki:

Regulamin Festiwalu winien zostać przepracowany. Przede wszystkim rozszerzyć należy grupę nagród przeznaczonych dla „filmów animowanych i innych krótkich form filmowych”. Następnie — jaśniej i precyzyjniej określić treźba kryteria i wymagania, stosowane wobec filmów. Nawet jeśli miałyby się to wiązać z ostrzejszą niż dotąd selekcją. Wreszcie — tzw. szary człowiek również chciałby wiedzieć dlaczego te a nie inne filmy uznano za najlepsze.

Wówczas bowiem można będzie mówić o festiwalowej dyskusji, nie zaś o kwitowaniu faktów. Uczciwość członków jury nikt bowiem nie kwestionuje — ale trudno uważać ją za podstawowy argument artystyczny.

myśliciele, który stale cytuje Boya, a nawet jego „Słówka” jak nazwanie go „Ojcem Pirożyńskim”. I to za co? Ze spowodował wyściele obydnych scen masowego gwałcenia dziecika w krzywym filmie „Matka i córka”? Za to wszystko wrażliwszą kobietę i dziewczynę są w całej Polsce wdzięczne. Dlatego najserdeczniej proszę o zrewidowanie swego poglądu na sprawę drastycznego filmu „Matka i córka” i naprawienia jakiegoś krzywdy dr Marcinkowskiemu, który w naszym mieście uchodził chyba za najbardziej postępowego przyjaciela i obrońcę młodzieży.

Sądze, że Pan Redaktor musi być wprowadzony w błąd przez ludzi złośliwych, o niskim morale, którym nie podobna się działalność publicystyczna dr Marcinkowskiego zwłaszcza przeciwalkoholową.

Z poważaniem  
Stała czytelniczka  
Dziennika Polskiego  
MARIA ZUREK  
zam. Kraków,  
ul. Librowszczyzna 58

Wielce Szanowny  
Panie Redaktorze!

Przeczytałam ostatnio z wielkim oburzeniem w „Dzienniku Polskim” cytaty z Pańskiego artykułu wydrutowanego w „Odgłosach” łódzkich — odnośnie polemiki w sprawie filmu „Matka i córka”. Porównuje Pan dr Marcinkowskiego, znanego działacza młodzieżowego i przyjaciela młodzieży, odznaczonego Honorową Odznaką TPD do nowego ojca Pirożyńskiego. Chyba nie słyszał Pan nigdy o dr Marcinkowskim, popularnej i lubianej postaci na terenie miasta, a szczególnie wśród młodzieży. Dr Marcinkowski jest znanym ateistą, działaczem Tow. Światowego Macierzyństwa i członkiem Związku Lekarzy Seksuo-

logów i właśnie w tym charakterze wystąpił przeciwko potwornym i szokującym scenom gwałcenia 12-letniej dziewczyny przez bandę Murzynów i to równocześnie z jej matką. Sceny te były wręcz nieczłowieczne i tak straszne, że kobiety oglądające te sceny w czasie Festiwalu Filmowego (w lutym br.) mdlały — wiem to od moich koleżanek będących na całym filmie.

Panie Redaktorze! — jak można bronić takich scen, jak można rzucać obelgi, na najbardziej liberalnego działacza w naszym mieście.

Wydaje mi się, że Pan zrobił wielką krzywdę dr Marcinkowskiemu i powinien Pan przemyśleć tę sprawę do końca.

B. S.  
Kraków  
ul. Grodzka 31/1  
Kraków, 29. VI. 1962.

DRUGA REDAKCJO!

W poprzednim numerze „Odgłosów” (23) ukazał się artykuł zatytułowany „Powrót księdza Pirożyńskiego”. Jestem nim szczerze wzburzona i nie tylko ja, lecz także wielu moich kolegów i koleżanek. Zapewne zdziwił się, że my tacy młodzi (mamy po 18 lat) i oglądaliśmy ten film. Jest przecież dozwolony od 18 lat i jak stwierdza dr Marcinkowski bardzo źle wpływa właśnie na młodzież licealną (także jesteśmy). Pozwolił sobie sprzeciwić się temu. Po tym filmie byliśmy bardzo wstrząśnięci (przynajmniej ja, może nawet więcej) — oburzeni na świat. Nie wiedzieliśmy przedtem, że z „Matki i córki” wycięta została scena gwałtu w kościele. Po wyjściu próbowałam wyobrazić sobie właśnie dziewczynę w tym momencie. Przecież to był dla niej straszny cios. W ogóle film dostar-

czył nam moc wrażeń i dyskusji. Byliśmy zdziwieni, że tak mało mówili o tym filmie. I nagle w „Odgłosach” jest i znów jesteśmy oburzeni. Tym razem na dr Marcinkowskiego. Pisze, że film jest „niebezpieczny dla zdrowia psychicznego młodzieży”. Tak pisze z jednoznacznie „nie” rozumie młodzieży. Nie może zrozumieć, że dziewczęta młodzież potrafi także być poważną i rozumieć, przeżyć takie filmy jak „Matka i córka”. Nie rozumie także dlaczego dr twierdzi, że chłopcy czują po tym filmie „pogardę dla dziewczyny, która może gwałcić”. Czy dziewczyna na filmie sama oddała się? Uciekała przecież i na pewno broniła się. Ale cóż może uczynić wobec tyłu żołnierzy. Czy może to właśnie pan Marcinkowski nie chciał zobaczyć tego filmu inaczej jak tylko ujemnie dla nas młodzieży? Sprzeciwiamy się a szczególnie nasi koleżki, którzy odnoszą się do nas tak jak przed filmem. A nie są oni żadnymi wyjątkami. Są tacy jak wszyscy inni. Dalej czytamy, że oburzenie tego filmu wystarczy, żeby gwałcić dziewczęta, bo to uchodził bezkarnie. Dlaczego bezkarnie? Przecież na ekranie jest wojna, a na świecie pokój. W takim razie z „Kryżaków” (b. przeproszę, że śmieiem porównywać te dwa filmy) należałoby wyciąć scenę katowania Juranda. Przecież Zygfryd też nie był za to karany. To znaczy, że chłopcy też pódła obnieć komuś rękę, wypalić oczy i wyrwać język, bo to uchodził bezkarnie. Proszę bardzo, niech któryś z chłopców spróbuje zgwałcić dziewczynę i zobaczymy czy ujdzie mu to bezkarnie. Myślę, że w Krakowie wcale nie jest inaczej niż w Łodzi. Wydaje mi się, że ludzie nie poznali jeszcze zbyt dobrze „współczesnej młodzieży”. A szkoda, bo wcale nie jest ona taka zła. Potrafi czasami, jeśli tylko chce, zrozumieć coś i przyjać lepiej od starszych. Pomimo wszystkiego jesteśmy zachwyceni tym fil-

mem i strasznie oburzeni, że wycięto tę właśnie scenę.

P. S. Wydaje mi się, że będziecie zdziwiona tym opóźnieniem. Pozwólcie więc sobie złożyć wyjasnienia. Byliśmy przez dwa tygodnie na wycieczce „Odgłosy” do prawda mieliśmy, ale nie było czasu. Pisaliśmy więc po powrocie do Łodzi.

ZOFIA  
z koleżankami i kolegami

## Od redakcji:

Pozwiliśmy sobie przytoczyć w całości listy, jakie nadeszły do naszej redakcji w związku z opublikowaniem w nrze 25 „Odgłosów” artykułu W. Wierzeńskiego pt. „Powrót księdza Pirożyńskiego”. Listy te mówią same za siebie i nie wymagają chyba specjalnych komentarzy. Chcemy jednak zwrócić uwagę naszych czytelników na kilka dosyć istotnych spraw.

Nikt nie neguje i nie umniejsza zasług dra Marcinkowskiego na polu walki z alkoholizmem i krzewienia świadomego macierzyństwa. Doceniamy również w pełni fakt, że jest on ateistą i cytując „Słówka” Boya, tym bardziej, że wejda one zapewne już wkrótce do lektury szkolnej. Niestety, ani propagowanie świadomego macierzyństwa, ani ateizm, ani nawet lektura Boya nie wpływają jak widac na kształtowanie się wartości estetycznej i nie upoważniają nikogo do ingerowania w sprawy czysto artystyczne.

„Słówka” Boya powstały dobre 50 lat temu i od tamtych czasów świat znacznie poszedł naprzód i młodzież już, panie dzieciu, nie ta co wtedy. Dziełko Ernestynki pasjonują się Caldwellem i nie popadają tak na porzekaniu w nerwice seksualne. Nie sądzimy, aby droga ocalenia „niewinnej duszy”

naszej młodzi wiodła przez zamknięcie jej oczu na to, co się wokół dzieje. Jak uczy doświadczenie, przemilczania tylko pobudzają fantazję. Świadczą o tym chociażby list naszej młodej czytelniczki.

Nie jesteśmy zwolennikami filmów obfitych w akty brutalności i gwałtu. Występowaliśmy na przykład ostro przeciw filmowi „Garaz śmierci”. Cechą jednak wszystkich księży Pirożyńskich nawet tych spod znaku wolnościowości i ateizmu jest nieumiejętność rozróżniania między sztuką, prawdą artystyczną a szmirą lub pornografią. I dlatego są oni tacy groźni.

Film De Sici jest wybitnym dziełem sztuki, dziełem głęboko humanistycznym i wstrząsającym, walczącym z absurdalnym i nieudzielnym zjawiskiem jakim jest wojna. Sena gwałtu ma charakter kluczowy dla ukazania absurdalności i zbrodnicego bezsensu wojny samej w sobie. To scena mądra i odważna, zrealizowana przy tym w sposób wysoce kulturalny i nie przynoszący ujemny randze De Sici jako reżysera. Tylko ci, którzy w każdym miejscu lubią sobie poświntuszyć, mogą dopatrywać się w niej „instruktażu”, obrazy moralności i zagrożenia czystości uczuć. Ale chyba ci ludzie nie mają prawa decydować o losach dzieł sztuki.

Niestety film De Sici został okastrowany. Umniejszono w ten sposób jego wartości artystyczne i ideowe. Sztuka bywa na ogół królona na miarę swego czasu. Widocznie nie jesteśmy jeszcze społeczeństwem ludzi dojrzałych, widocznie nie dorosiliśmy jeszcze do sztuki XX wieku.

RED.

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

## LISTY W SPRAWIE OJCA PIROŻYŃSKIEGO

Panie Redaktorze, wyczytałam w Dzienniku Polskim z 26. III. 1962 r. wyjątek z Pańskiego artykułu, w którym pozwala Pan sobie porównać naszego dr Marcinkowskiego do nowego „Ojca Pirożyńskiego”. Nie zdaje Pan sobie sprawy z tego, kim jest dr Marcinkowski, że jest to wolnościowiec, a nawet ateista, najbardziej chyba zszokowany w Polsce działacz przeciwalkoholowy, odznaczony przed dwoma miesiącami orderem Polonia Restituta, właśnie za działalność przeciwalkoholową i wychowawczą.

Dr Marcinkowski wygłasza w świetlicach organizacji młodzieżowych, z których wiele za wdziera swe powstanie, prelekcje najbardziej liberalne i mądre o wychowaniu seksualnym i świadomym macierzyństwie, a wszystko pod katem obrony praw kobiety i dziewczyny.

Zdaje mi się, że nie może być większej obelgi dla tego wolno-



W poprzednim numerze zamieściliśmy wypowiedzi Jana Brzozowskiego i Tadeusza Stolaraka, stanowiące pierwszą część stenogramu dyskusji nad artykułem Waldemara Uchmana pt. „Turystyczna Polska B” (Odgłosy nr 26), jaka odbyła się w naszej redakcji. Poniżej drukujemy dalszy ciąg tego stenogramu.



WACŁAW ZATKĘ:

Zagajenie dyskusji przez red. Uchmana, jest, moim zdaniem, zbyt pesymistyczne i może wywołać w opinii publicznej przeświadczenie, że w dziedzinie turystyki gospodarujemy wyjątkowo źle. Taki cel — jak sądzę — nie przyswiera chyba ani redakcji „Odgłosów”, ani autorowi zagajenia.

W każdej działalności społecznej musimy uwzględniać jeden bardzo ważny element: kolejność zaspokajania potrzeb. Uważam, że pola campingowe, o których tu się sporo mówiło, ze względu na swoją cenę i rozsadek ekonomiczny mogą być urządzane dopiero w dalszej przyszłości. Bo kto je ma właściwie ufundować?

Z artykułu red. Uchmana wynika, że każdy turysta, zgłaszający się do PTT-K, powinien dostać kajak. Ale kto ma mu ten kajak kupić? Państwo? Na to środków nie ma. Dlatego sądzę, że względów ekonomicznych nie wolno pomijać. Dalej w artykule mówi się, że my w swoim poradniku telewizyjnym polecamy trzy miejscowości. Moglibyśmy co tydzień polecać i 22. Nie czynimy tego nie tylko ze względu na ograniczenie czasu telewizyjnego. Przecież każda pole-

cana przez nas miejscowość musi być jako tako zaopatrzona. Chociażby w wodę. A już samo zaopatrzenie w wodę nastrecza trudności. Dlaczego? Bo handel sprzedaje wodę z deficytem. W dodatku, jeżeli w niedzielę uruchamia transport, to ma kłopoty z funduszem płac. Każde niedzielne uruchomienie samochodu zwiększa deficyt przedsiębiorstwa. A przecież przedsiębiorstwo handlowe ma obowiązek pracować bez strat. Mówiono tu o komunikacji. Cała nasza komunikacja jest również deficytowa. Zalecając uruchomienie większej liczby pojazdów, chcąc nie chcąc domagamy się zwiększenia deficytu przedsiębiorstwa komunikacyjnego, jego kłopotów z funduszem płac. Te elementy decydują, że każdy broni się przed zwiększeniem ilości usług, bo nie jest w stanie pokryć strat. Jeżeli komunikacja się poprawiła, to w zakresie autobusów, ale na pewno nie ma poprawy na kolei. I tu bezspornie potrzebne są lepsze i dodatkowe połączenia.

Jest jeszcze jeden element, o którym w ogóle nie mówimy: ryzyko. Ryzyko ze względu na pogodę. Handel nie jest w stanie idealnie określić wielkości zapasów w sobotę. Bo jeśli następnego dnia, w niedzielę, pada deszcz, to co ma z tymi zapasami zrobić? Niekiedy produkty szybko się psują. Ryzyko w tym zakresie powoduje, że handel nie zawsze dysponuje potrzebną ilością artykułów żywnościowych w miejscach i dniach świątecznego wypoczynku.

Wydaje mi się, że tego ostatniego nigdy nie należy rozumieć w ten sposób, że chcemy, aby całe miasto wyłudziło się i przeniosło „w plener”. Dlatego, że i w samym mieście istnieją możliwości wypoczynku. Parki, rozrywki kulturalne w parkach, zawody sportowe, są to przecież także miejsca i formy świątecznego wypoczynku.

Pare słów na temat Mrogi. Mówi się, że jest gotowa dokumentacja Mrogi, dlaczego więc się jej nie urządzi, dlaczego fundusze na nią przepadają? Nieprawda, nie nie przepada, stosuje się tylko zasadę kolejności inwestycji. Łódź i związki zawodowe w Łodzi, jak żadne inne miasta, co trzeba szczególnie podkreślić, przeznaczyły olbrzymie sumy na urządzenie ośrodków wypoczynkowych, np. Stawów Jana i Arturówka. Dlaczego łożymy na te środki w pierwszej kolejności? Dlatego, że będą to miejsca nie

pierwszej kolejności organizować cywilizowany wypoczynek.

Na zakończenie chciałbym powiedzieć, że Łódź na pewno jeszcze przez długi czas będzie pod względem turystycznym Polska B. Polską A będą zawsze i w pierwszym rzędzie Zakopane i Krynica. Na pewno Warszawa i Poznań są w lepszej sytuacji niż Łódź, chociażby ze względu na warunki naturalne. Ale chcę zwrócić uwagę na następujący fakt. Ostatnio w dzienniku telewizyjnym delibrowano, jaka biedna jest ta Warszawa,



PTT-K 16. Ważne Młyny — 5. Następnie ogniska Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej: Tomaszów — 25, Wieruszów — 108 miejsc w domkach campingowych 2 i 4-osobowych oraz namiotach. Wreszcie dorobek klubów sportowych: KS Pilica Tomaszów 20 miejsc, KS Tomaszów Lechia 8 miejsc, ponadto w ośrodku sportowo-wodnym w Sulejowie 220 miejsc.

Mamy więc wielu tzw. „gestorów” turystyki: PTTK, ZS LZS, TKKF, PZ Mot., PZ Kol. i związki zawodowe, które stworzyły na terenie województwa łódzkiego całą sieć ośrodków turystycznych — wypoczynkowych, bądź je organizują. Ale koordynatorem jest Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki, w tym wypadku WKKFiT. „Koordynator” to modne, obiegowe słowo, nie zawsze jednak należycie rozumiane. Mnie się wydaje, że do koordynatora należy przede wszystkim rozdział zadań pomiędzy „gestorów” turystyki, a następnie kierowanie ich realizacją. W tym sensie WKKFiT nie jest chyba jeszcze w pełną koordynatorem.

Pare słów teoretycznych na temat wypoczynku. Pierwsza zasada obowiązująca jego organizatorów to: nie męczyć! Znaczący to — unikać dużego zgromadzenia ludzi w ośrodku wypoczynkowym. Po drugie — teren musi być bezwzględnie wyposażony w urządzenia sportowe i sprzęt. Po trzecie: grupy wypoczywających powinny się bawić we własnym gronie. Amerykanie reklamują swoje ośrodki rekreacyjne w ten sposób: „Nie ma prasy, nie ma telewizji, nie ma radia”. Tego rodzaju wolne od-

uciażliwości cywilizacyjnych wielkich miast ośrodki cieszą się największym powodzeniem. Francuzi lubią wypoczywać w grupach towarzyskich. Wydaje mi się, że nam także odpowiada ten typ wypoczynku i dlatego należałoby go lansować. Jak? Organizując w terenie maksimum punktów informacyjnych i wypoczynalnych sprzętu. (O obiektach gastronomicznych i sanitarnych nie mówię, bo to oczywiste). Przybysz nie zawsze chce korzystać z campingu. Woli przynieść z sobą własny namiot lub wypożyczyć go na miejscu. Jakie tereny w naszym województwie nadają się do organizowania tak pojmowanego wypoczynku? Moim zdaniem doliny rzek: Pilicy (okolice Spały, Tomaszowa, Nowego Miasta) i Warty (Sieradz, Radomsko) i Prośny (Wieruszów). Jeżeli chodzi o pola campingowe, o których tu była mowa, to pragnę zasugerować, że rozbudowyujemy je w tym roku w okolicach Nieborowa (200 miejsc, namioty, plus wypożyczalnia sprzętu) oraz w Sieradzu.



# turystyczna POLSKA B

tylko świątecznego, ale również powszedniego wypoczynku po pracy. Kiedy Arturówek i Stawy Jana będą gotowe powstanie kwestia: czy nie lepiej zalać basen w Julianowie i urządzić jeszcze jeden ośrodek w obrębie miasta, niż budować Mrogo, do której trzeba będzie jechać 40 km? Moim zdaniem bardziej celowe będzie urządzenie ośrodka w Julianowie. Znowu w grę wchodzi względy ekonomiczne. Nie znaczący to, że chcemy zrezygnować z Mrogi! Po prostu odkładamy ją na przyszłość. Bo co to jest właściwie Mroga? Rzeczka, dająca możliwość stworzenia zalewu. Trzeba więc wydatkować X milionów, ażeby przystosować tam naturalne warunki. A przecież w województwie mamy już obecnie wiele miejscowości, w których są te naturalne warunki w stanie najbardziej gotowym, to znaczy: woda, piasek, las. Dlatego sądzę, że w tych właśnie miejscowościach należy w

że posiada tylko jeden basen „Legii”, mając taką dużą Wisłę. W naszych redakcjach jakoś nikt nie zauważa, że w Łodzi mamy tak mało wody. A przecież tworzenie basenów jest bardzo celowe z punktu widzenia ekonomicznego. Są one tanie w eksploatacji i bardziej higieniczne. Dlatego myślę, że jakaś kampania prasowa w Łodzi na rzecz budowy basenów byłaby bardzo pożądana i słuszna.

## JÓZEF OKOŃSKI:

Muszę na wstępie podać parę danych, ponieważ artykuł red. Uchmana od strony faktograficznej nie wydaje mi się najpełniejszy. Baza noclegowa, będąca do dyspozycji turystów łódzkich w naszym województwie liczy około 500 miejsc. I tak w Sulejowie schronisko PTT-K — 40 miejsc, Rawka-Ruda PTT-K 36 miejsc, Łowicz

Andrzej Ostoja

# Potwór

(Dok ónczenie)

Po wyczerpaniu wszelkich możliwych środków zmierzających do wykrycia drugiego sprawcy Prokuratura Powiatowa dla dzielnicy Łódź-Bałuty skierowała w dniu 28 lutego Akt Oskarżenia do Sądu, zarzucając Federowiczowi, iż: „w dniu 30 sierpnia 1961 roku w Łodzi wraz z nieustalonym sprawcą dokonując czynów nierządnych na osobie 8-letniej Danuty S. w zamiarze pozbawienia jej życia zadał S. butelką oraz nożem szeregi obrażeń w klatkę piersiową i głowę, a nadto założywszy sznurek na szyję S., wieszal ją na drzewie, a następnie w stanie utraty

przytomności pozostawił w lesie, lecz zamierzonego skutku nie osiągnął, bowiem Danuta S. po upływie 24 godzin ze słabymi oznakami życia odnaleziona została przez przechodzącego lasem Edwarda Markusa”.

W dniach 13 i 14 kwietnia 1962 roku Sąd Wojewódzki dla m. Łodzi w Wydziale IV Karnym, w składzie: Przewodniczący SSW Józef Biń, ławnicy Stanisław Pietrzyk i Stanisław Marusiak, rozpatrzył sprawę Jana Federowicza. Oskarżała prokurator Jadwiga Karśnicka, bronił Federowicz z urzędu adwokat Zenon Szczepny.

Federowicz na rozprawie powiedział między innymi: „Do winy przynajmniej częściowo. Do W. jak przyjdzie nowy pracownik, to musi się wkupić. On był moim przełożonym. Wszyscy mówili, że jest moim

przełożonym, ale czy był nim naprawdę, nie wiem. Miałem tego dnia przy sobie 1200 zł na ubranka dla dzieci i teczkę do szkoły. Wypiliśmy wspólnie w różnych miejscach 5 ćwiartek wódki. W którejś restauracji W. spotkał swego kolegę. Potem jeszcze piliśmy po różnych bramach. Miałem teczkę, a w niej sznurek, nóż, mydło i ręcznik. Jak poszedłem na podwórko, to biegła tam Danusia, która mnie znała i ja ją znałem. Dziecko samo zaproponowało, że zaprowadzi mnie do rodziców. Jednak potem znowu piliśmy. W. zatrzymał taksówkę. Pytałem, gdzie jedziemy, odpisał, że „z nim nie zgine”. Danusia w lesie nie chciała iść, bała się i płakała. Przedtem byłem w tym lesie dwa razy ze swoimi dziećmi. W. wyjął pół litra i kazał mi pić „ile się tylko zmieści”. Do tego, co się stało z dzieckiem, doprowadził mnie W. i do tego mnie zmusił. W. kazał mi znieść się nad dzieckiem. Może się zniecałem nad dzieckiem, tego nie mogę konkretnie stwierdzić. W. kazał mi, abym to dziecko gwałcił, no to je gwałciłem. Danusia krzyczała. Później W. wyjął sznurek, nie pamiętam skąd i kazał mi przywiązać ten sznurek do gałęzi drzewa i ja to zrobiłem. Dziecko straszliwym, że je powiesimy. W. straszyl, ja też może straszylem. Danusia doszła do mnie, że bym ją bronił, miała do mnie zaufanie. Wtedy W. powiedział, że dziecko to powiesimy. Ja wtedy oprzytomniałem zupełnie. „Panowie” — powiedziałem — co wy robicie, ja wziąłem to dziecko i od-

powiedziałam za nie”. Wtedy oni mi kazali założyć dziecku sznurek na szyję. Byłem zmuszony to zrobić. Nie spodziewałem się tego, kazali mi to zrobić, więc zrobiłem. Co ja miałem do gadania, jak ich było dwóch. Nie wiem, co by mi zrobili, jak bym nie wykonał ich poleceń. Było to już wieczorem i dlatego nie mogłem krzyczeć ani bronić się. (?) Założyłem pętlę i oprzytomniałem, że źle robię. Dziecko nie zostało powieszona, było przywiązane do gałęzi, ale stało nóżkami na ziemi. Sznurek zerwałem, dziecko upadło. Podszedł W. i zaczął dziecko kopać butami po głowie. Kilkakrotnie je kopnął. Mógł je zabić. Ja dalej mówiłem: „Panowie, co my robimy, ja za to dziecko odpowiadamy”. Wziąłem dziecko na ręce. Wtedy W. złapał dziecko za nóżkę, wyrwał mi z rąk. Dziecko główką runęło na ziemię a W. włókł je po ziemi, ile metrów, nie mogę powiedzieć. Dziecko jęczało. Było przytomne, ale nie bardzo. Charczało mu w gardle. Skąd się wzięła rana, ja nie pamiętam, ja nie miałem noża w ręku. Być może, że dziecko było też bite butelką w głowę. Nie pamiętam kto to robił. Gdy W. rzucił dziecko w krzaki, kazali mi uciekać, więc uciekłem. W domu położyłem się spać. Spałem normalnie. Obudziłem się rano jak żona szła do pracy, spojrzałem na swoje dzieci i przypomniało mi się wszystko. Nie powiedziałem organów MO, bo się bałem, że wyda się mój czyn. Jak dziecko wisiło, mógł się sznurek zaciągnąć. Dlatego charczało. Zdawałem sobie

sprawę z tego, że dziecko może umrzeć, ale co miałem BIEDNY robić, jak byłem sam jeden. Przedtem nie piłem wódki, dopiero jak zacząłem pracować na budowie, to się rozpiłem w niecały miesiąc. Zmusili mnie, abym to dziecko gwałcił przed założeniem sznurka na szyję. Danusię traktowałem TAK SAMO JAK WŁASNE DZIECI”.

W ostatnim słowie Federowicz powiedział:

— O nic nie proszę, byle mnie w gazecie nie podali. Sąd skazał Federowicza na dożywotnie więzienie oraz utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze.

Wyrok ten nie jest praktyczny. Został on zaskarżony do Sądu Najwyższego przez obrońcę, który wychodził z założenia, że oskarżony nie miał zamiaru pozbawienia życia Danusi S.

Nie uczyniłem zadość prośbie Federowicza. Opisałem to wstrząsającą sprawę, która poruszyła swego czasu społeczeństwo Łodzi. Nie widzę bowiem powodu, aby Federowicz, po tym co zrobił, miał zasługiwać na jakikolwiek względy.

\* \* \*

Ta straszna sprawa nie wymaga właściwie komentarzy. Ona nie mówi, ona KRZYCZY sama za siebie. Warto jednakże, abyśmy

wyciągnęli z niej jakieś wnioski. Jest dla mnie rzeczą pewną, że Federowicz nie dopuściłby się tego ohydnych czynu, gdyby nie znajdował się pod wpływem alkoholu. Nie chcę powtarzać truizmów. Wszyscy TEORETYCZNIE wiemy, do czego może doprowadzić człowieka alkohol. Ale widząc zataczającego się pijaka, uśmiechamy się zwykle pobłaźliwie. Prześniemy w końcu lekceważyć to zagrożenie! Nie zapominajmy, że każdy człowiek pijany jest potencjalnym przestępcą! Może ujawnienie szczegółów sprawy Federowicza uszymsłowi nam w końcu ten fakt z całą ostrością.

Chciałbym również podkreślić obywatelską postawę Edwarda Markusa w tej sprawie. Jasne jest, że gdyby nie jego interwencja, Danusi S. nie udaloby się uratować. Niestety, praktyka wykazuje, że wielu ludzi znalazłszy się w sytuacji Markusa, wolałoby nie ujawnić swego odkrycia, aby nie ściągnąć na siebie pierwszych, nieuchronnych podejrzeń.

Chciałbym w końcu zwrócić uwagę, że ci wszyscy, którzy uważają w dalszym ciągu, że Józef W. współdziałał w przestępstwie, nie mają racji i mogą wyrządzić poważną krzywdę człowiekowi, któremu winy nie udowodniono.

## Z notatnika prokuratora



## Dalszy ciąg ze str. 1

tak, bali się go, nienawidzili. Wszyscy. Nie spotkali ani jednego przyjaznego słowa, uśmiechu.

Ala dlaczego? Dlaczego? Postanowił dowiedzieć się za wszelką cenę. Do gospody zachodził zaczął. Bruździe niejakiemu wódkę stawić. Ten to bowiem Bruźda wszystko o wszystkich wiedział, każdą informacją za kieliszek służył. Dowiedział się przeto Palikowski tajemnicy wielkiej, która w jednym słowie stręścić się dała. Słowo to brzmiało: Rozłal.

To nie żart i nie pseudonim, to prawdziwe nazwisko człowieka, który... Ale zaczynajmy od początku.

Po wyzwoleniu przyjechał Rozłal do K. Był to człowiek średniego wzrostu, otyły, w blyszczącej od tłuszczu twarzy świeciły małe, świńskie oczka. Nikt nie wiedział, gdzie przedtem przebywał ten osobnik, ani czym się zajmował. Wyglądał na faceta, który potrafił sobie radzić w najtrudniejszych sytuacjach, nie zawsze przy pomocy uczciwych sposobów. Co przezorniejsi i tchórzliwsi mieszkańcy K. zaczęli go na wszelki wypadek tytułować „magistrem”. I tak już zostało. „Magister” Rozłal pokazywał wszystkim chętnym „jakieś stare pieczątki, stwierdzające, że był przed wojną dyrektorem dużych zakładów energetycznych, to znów nieokreślonej fabryki odzieży. Próbował zdobyć własne przedsiębiorstwo, starał się naciągnąć niektórych na pożyczki... Zdało się, że z dużym powodzeniem. Nie wiadomo, z czego żył, dość, że postawił sobie mурowany dom. Wyjeżdżał często, ponoć za granicę.

Aż nagle, w pięćdziesiątym drugim roku rozeszła się wieść, że Rozłal ukończył w Londynie Wyższy Uniwersytet Leczenia Ziółami. Niektórzy widzieli piękny, ozdobny, na złoconym pergaminie wybity dyplom z goetyckim napisem: „London University”, a pod spodem po polsku: „Pijcie ziola!” Był to bowiem dyplom, wydany na Polskę.

I zaczęła się złota era „magistra” Rozłala w K. Ludzie waliłi doń drzwiami, oknami. Wieść o znakomitym, w Londynie uczonym lekarzu, zataczała coraz szer-

sze kręgi. Zaczęli się zjawiać chorzy z najodleglejszych zakątków Polski. Wizyta, trwająca dwie, trzy minuty, kosztowała pięćset, albo tysiąc złotych, w zależności od rodzaju choroby. Rodzaj ten określał oczywiście sam lekarz, po uprzednim zorientowaniu się „na oko” w stanie majątkowym pacjenta. Dziennie miał dwadzieścia, do trzydziestu wizyt.

W końcu, gdzieś w pięćdziesiątym piątym powinęła mu się — nie tyle noga, co praktyka. Poszedł siedzieć. W K. zawrzało. „Nasz dobro-

bito szybę w oknie jego pokoju, to nie znalazł się szklarz chętny do wstawienia. Odwlekał szklarz — a to chory był a to szybko nie miał, aż Palikowski dyktą dziurę zabił. Opony mu przebijano, lekroć rower przed sklepem, czy przed domem postawił. Kartki przysyłano, anonimy. „Zginiesz tej nocy”. „Uciekaj bandyto!” „Zdrowie straszisz, na co ci to?”

Ciężki był okres — powiada Palikowski, i się śmieje. Ludzie w K. kłaniają mu się teraz niską, choć

„zamknąć w komórce na kłódkę i kwita!” Śmiał się jeszcze długo, Anię po policzku klepał.

Zastanowili się Jakubikowie. „Po prawdzie, co nam szkodzi, tyle dzieci mamy, nic to nam nie zaszkodzi, a może lepiej będzie” — powiedzieli wreszcie. Rozgłosili, że Anię do rodziny wysłali. A w szopie za domem ją zamknęli.

Minał jeden rok — faktycznie, ziemia niezłe obrodziła. Ani żarcie przez dziurę w desce podawali, trzymali dalek. Drugi rok minął,

gdyś małe dziecko mieli. Mu si je zabili — mówił Bruźda — co tak nocami straszysz...

Może by i nie nie było, gdyby się Palikowski do Jakubików osobiście nie wybrał w sprawie jednego ich syna. Syn ten dziennik szkolny, w którym Palikowski dwójkę mu wpisał, atramentem zalał, chcąc swe niectwo zamazać.

I tak gadał Palikowski z Jakubikami na podwórzu w sprawie tego dziennika, a rozmowa ta do kłótni raczej podobna była, gdy nagle z boku domu owo wycie wiadome doleciało. „Co to jest?” pyta się Palikowski. „Nic takiego, suka się szczeni” tamci na to. „Można zobaczyć?” prosi Palikowski. „Nie, przez szkadzać nie można”. A tu wycie znowu, bardziej niż kiedykolwiek ludzkie. Pobiegł Palikowski za dom, do komórki, Jakubiki za nim, w strachu śmiertelnym.

Wyrwał spróchniałe drzwi Palikowski i zobaczył coś, o czym mówić mu przykro. Stwór dziki, brudny, okryty łachmanami, na czworakach stojący, prawie ślepy, z włosami do ziemi. Jęk straszliwy z siebie wydawał i cofnął się ze strachu pod ścianę w kącie. A wtedy Palikowski gwiazdy wszystkie zobaczył i runął na ziemię.

Ocknął się w piwnicy. Zrozumiał, że został z tyłu przez Jakubika uderzony. Jakubik myślał, że go zabił i w pierwszym strachu do piwnicy go zniósł, Palikowski drzwi wywalił i pobiegł na milicję.

Tak, tak — śmieje się młody nauczyciel, Palikowski — więcej zajęcia z dorosłymi miałem, niż z dziećmi przez pierwszy rok swojej samodzielnej pracy. Ale nie żałuję. Oplaciło się — dodaje.

Oplaciło się. Stokrotnie oplaciło. Rozłal siedzi. Jakubikowie siedzą. Atmosfera w K. odmieniona zupełnie. Ludzie inni. Tylko...

Tylko czy to Palikowski miał się tym wszystkim zająć? On, właśnie on? A dwaj starzy nauczyciele? A oni, ci wszyscy... obywateli miasteczka K.? Na co czekali, jakiego chcieli końca tego stanu, który sam stworzył?

A diabeł to wiedza. Na pewno wiedzą. Tyle, że już ich nie ma w pięknym, małym miasteczku K.

ANDRZEJ BRYCHT

# SAMOTNY W ŚREDNIOWIECZU

czyńca! Nasz mędrzec! Wiele kiedy wyszedł Rozłal z ciupy i wrócił do K. (w pięćdziesiątym ósmym) przy witano go kwiatami, śpiewami dzieci szkolnych, chlebem i solą. Nie „leczyl” już teraz, najwyżej w tajemnicy dał komuś jakąś radę, ale nie brał za to pieniędzy. Bał się. Swoim milczeniem i cierpieniem niewinnym osiągnął o wiele więcej niż pieniądze i sławę. Osiągnął całkowitą władzę nad mieszkańcami K., zafascynował ich, rządził nimi, jak cesarz.

Los Ani Jakubik też od niego zależał. Ale o istnieniu tego dziecka Palikowski dowiedział się o wiele później. Na razie zorientował się, że nie przypadł do gustu księciu Rozłalowi, który z wyżyn swojego mitu nakazał ludziom w K. bojkotować młodego nauczyciela, „obcego”. (Powiedzieć trzeba, że K. jeży z dala od stacji kolejowej, od szosy, od — rzec by się chciało — współczesności. Stary autobus dojeżdża tu raz dziennie, do najbliższej stacji jest dwadzieścia kilometrów bocznymi drogami). Więc ludzie bojkotowali Palikowskiego, chcąc zmusić go do wyjazdu na zawsze, a Palikowski bardzo mocno odczuwał ten bojkot. Kiedy wy-

młody jest, a jeszcze bardziej młodo wygląda. Przecież jednak bliski był zamłania. I kto wie, czy by nie wyjechał...

Dlaczego Rozłal tak się uwziął na niego? Kłóć to wie — powiada Palikowski — hiena też ma swoje kaprysy.

I byłby może uciekł Palikowski, przez ciemną, groźną znowu pokonany, gdyby mu Ania Jakubik normalnego życia nie uratowała. I gdyby on jej życia nie uratował.

Jakubikowie mieli trochę ziemi i dom. Przywiązywali do tej ziemi wagę, ponieważ z niej tylko żyli. A mieli już troje dzieci, i kiedy czwarte na świat przyszło, bieda się u nich zaczęła. Jednego lata, tuż po przyjeździe Rozłala, gdy w K. już okrzyczano go „magistrem” (Ania miała wówczas dwa lata, był rok czterdziesty szósty), przepowiadano suszę. Jakubikowie martwili się bardzo. Wtedy Rozłal, który dał jednego razu Jakubikowi zarobić, poradził, żeby pozbili się czwartego dziecka, bo im ziemia urodzi kamień i nigdy z błedy nie wyjdą. „Co robić?” zapytał Jakubikowie. Rozłal pijany był, śmiał się do że. „W komórce zamknąć” — rzekł —

i trzeci — jeden do drugiego podobny. „Może byśmy ją tak wypuścili” — bąknęła wreszcie Jakubikowa. „Coś ty, kobieto!” — wrzasnął mąż. „Żeby nam się pogorszyło? A po drugie, to ona ma już szósty rok i mówić umie, jak ją wypuścimy, to nas wyda i siedzieć pojedziemy!”

Ten ostatni argument przemówił Jakubikowej do przekonania. Nie wiedziała, że jej córka nie mogłaby ich wydać tak od razu. Nie wiedziała, że jej córka nie umie mówić. Nie słyszała przecież ludzkiej mowy.

Trzymali Jakubikowie swoje dziecko w komórce jeszcze wiele lat, w sumie czternaście. W K. zapomnieli, że Ania kiedyś istniała. Mówili tylko na mieście: „U Jakubików strasz. Nocą wycie słychać, jęki... Pewnie dusze pokutne im się koło domu zagnieździły...” Ale nikt się bliżej tym wyciem, tym jękami nie zainteresował. Jakubikowie słomianymi matami komórki obili, żeby słychać nie było.

Palikowski o wyciach słyszał i same wycie też słyszał. Mało to było podobny do ludzkiego głosu, ale przecież było. I postawiwszy Bruździe niejakiemu wódek mało wiele, dowiedział się Palikowski, że Jakubiki nie-

## ZWARIOWANE historie z podróży

(Dokończenie ze str. 1)

zostały bezdomne zwierzęta...

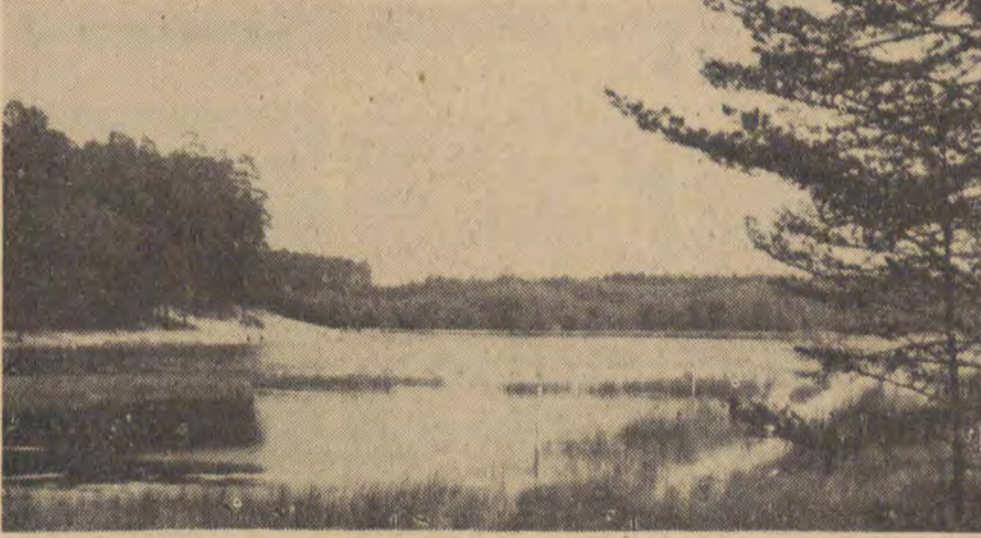
Takie sentymentalne rozważania można snuć bez końca. Tymczasem wspina się na Bukową Górę. Wspinamy: to znaczy grupa młodych, starych i zupełnie sędziwych dziennikarzy. Ktoś apeluje o uwagę, by na pewnej literacie nie usiadły dzieciaki. Płoszymy te dzielne ptaki śpiewem. Pierwszej lepszej piosenki rycerskiej:

To rozkosz, to rozkosz jedyna  
Rycerska przyczyna, rycerski to stan...

Rycerski to stan — myślę sobie gapiąc się parę godzin później na popiersie wielkiego polskiego rycerza, kanclerza, hetmana wielkiego koronnego, wodza, polityka, dyplomaty, autora rozpraw naukowych, mecena sztuki i nauki, Jana Zamojskiego (1541—1605). Popiersie stoi w zamojskim o-

grodzie zoologicznym. Hetman (tę nazwę nosi również miejscowy klub sportowy) się nie nudzi. Pod pachą ma bocianie gniazdo z młodymi, na wysokim czole siedzi zazwyczaj czarna czapla b. rzadki egzemplarz — duma zoo, a po plecach drapają go małpy typu reus. A oto inny bohater: kierownik ZOO wychodzi z klatki pantery.

— I nie ugryzła pana? Na to kierownik ukazał w rozbrajającym uśmiechu białe zęby... W ZOO jest także sokół, którego w jakiejś wsi złapał kolejarz. Kolejarz zamknął sokola w stodole i poszedł telefonować do Lublina. W tym czasie włamali się do stodoły uzbrojeni myśliwi i uprowadzili ptaka, żeby go mieć na „własny szczer”. Tak też usatysfakcjonowała ich prasa lubelska. Ale kierownik ZOO zakradł się do myśliwych i uprowadził sokola uzbrojonym po zęby typom. Właśnie ma na szyi węża boa, w którym bardzo



U stóp Bukowej Góry obok Zwierzynca Iłni małe jezioro.

mu do twarzy, a w rękę strusie jajo, które, gdyby pękło, zatrułoby cały Zamość i okolice. Bo jest to jajo nieco nieświeże.

Ktoś sędziwy wiekiem smętnie wraca do sprawy Zamojskiego. Rzecz jest prosta. Hetman wrócił tam, gdzie stał. W swoim czasie popiersie hetmana zdjęto z postumentu stojącego pośrodku skweru. Ale ZOO rozwijało się w kierunku cokołu. Tymczasem w roku 1956 ludność zaczęła, by hetman wrócił na pierwotne miejsce. Wypadło pod klatką reusów. Trudno. Ale niedługo ZOO przeniesie się na nowe obszerne tereny i znów Jan Zamojski królować będzie w centrum założonego przez siebie miasta.

Dzwony kolegiaty, gdzie śpi Zamojski snem wiecznym, wzywają nas na wieczerę. Restauracja nazywa się „Centrałka”. Jeżeli ktoś z kimś łączy, to na pewno gości z napojami wysokowymi. Sala, w której zasiadamy, opatrzona napisem: „Bezalkoholowa”. I słusznie. Tu nad czerwonym z wstydliwą salatką z pomidorów wspominał mego przyjaciela, lubelskiego rodaka. Biedak zapłakałby się na śmierć za dyshonor jaki go spotkał. Sala bezalkoholowa! Ale nie!

Oto wbiega na arenę zawodnik pierwszej rangi, kelner Szczepan Tzyt! Między palcami obu dłoni srebry są białe lakowane główki. Ciszą zgroyą zalega jak śmiertelny całun. Oto alko-

hol, którego tak nienawidziły!

Ciszę przerywa rozkaz: Pokażcie no, Tzyt... I Tzyt zaczyna wybić korki. Nadgarstkami. O kolana. O ramie prawe i lewe. Mistrz nad mistrze! Na ścianę tryska tylko tyle czystego plynu, ile trzeba, by zaznaczyć plastycznie eksplozję korka... Mały mokry wachlarzyk...

— Wspaniały Tzyt, wspinał się Tzyt! — rozlega się z angielską brzmiały głos jakiegoś gościa i zaraz potem kłasnęcie policzka.

Wydało mi się, że mimo wszystko pomylił podmioty.

A w Lublinie tymczasem trwają DNI LUBLINA. Za bramą krakowską w ciasnej kawiarence gra kabaret CZART. Czart sam się męczy, bo piszą dla niego le-

### informacje i zapiski

„Ostatni dzień starożytności”  
Ostatnia kartka z kalendarza  
Ani krok naprzód już w tym roku  
Chyba ten tylko do cmentarza...

Słowa te napisał 70-letni stolarz p. Ignacy Pawlak. To wrzuszające, jak po latach ciężkiej pracy, po latach tulaczki po całym świecie stary robotnik zaczyna tworzyć. Pan Pawlak pisze wiersze i rzeźbi. Rzecz prosta, że najlepiej wypowiada się w najbliższym sobie wycie — drzewie. Niewielkie, delikatne płaskorzeźby znamionują prawdziwy talent. Nie będzie pustym sloganem, jeśli powiemy, że właśnie dziś w naszym ustroju 70-letni stolarz mógł znaleźć opiekę w Towarzystwie Przyjaciół Sztuki, w Ognisku Plastycznym LDK. A właśnie niedawno mogliśmy podziwiać prace p. Ignacego Pawlaka eksponowane na wystawie plastyków-amatorów.

Ku radości łódzkiej recenzentów teatralnych i oczywiście publiczności — sprawa zorganizowania w przyszłym roku Festiwalu Operetek w naszym mieście jest już prawie załatwiona. Oby nie skończyło się na projekcie. Straciłby na tym masowy widz, a łódzcy recenzenci nie zostaliby wyleczeni z „kompleksu festiwalu”.

Sławomir Kryśka recenzując w „Nowej Kulturze” pięć tomików Wydawnictwa Łódzkiego, pisze: „Zdarzyło się na jednym z konkursów poetyckich, iż jurorzy przyznali nagrodę Frejdlichowi, będąc przekonani, że mają do czytania z „Grochowiakiem”. Nie wiemy ile jest prawdy w enuncjacji warszawskiego krytyka, wiemy natomiast z całą pewnością, że dobry obywatel zabrania wykorzystania trybunału krytyka dla publikowania dość wątpliwej wartości zakulisowych ploteczek.

J. W.

karze, a żaden nie nazywa się BOY-Zelenki. Za to są w tym kabarecie czarne siatkowe pończochy, para na parze zgrabnych nóg Danuty Wójtowicz. To w połączeniu z „rozróbka” intelektualną, jaką kabaret stara się robić w środowisku lubelskim, powinno wystarczyć. Kabaret gra właśnie operetkę „Kryśka Sputnikczan ka”, a występują w niej m. in. astronauta Kirk Szipunder — odpalacz.

Odpalanie rakiety i inne dowcipy identyczne jak w „Pstragu” przed dwoma laty. Jednak łódzki teatrzyk ze swymi tekstami nie wystąpił w Lublinie ze względów „niezależnych od organizatorów”. A zdawało się, że już Europa. Owszem, „Europa” jest. Specjalność potrawy pikantnej. Nawet dla delegatów służbowych za 31 złotych diety. Na europejski parkiet wchodzi dwie dziewczyny. Blondyna i druga z nutami.

— Podrywamy — pyta zdławionym z angielska głosem mój towarzysz podróży.

— Podrywamy — mówię zdecydowanie.

Placimy. Wstajemy gwałtownie. I wracamy do autobusu.

Notatki: A. WIESŁAWSKI  
Zdjęcia: W. MACHEJKO



# A JEDNAK SIĘ EKSPERYMENTUJE

Pytania naszej ankiety (nazwijmy to tak, choć nieściśle), nie zawsze były identyczne, ale wszystkie, oczywiście, krążyły wokół jednego zagadnienia: teatralnego eksperymentu. Samo pojęcie — eksperyment teatralny — jest, jak wiadomo, wieloznaczne.

Nasze rozmowy z dyrektorami i reżyserami czterech łódzkich scen dramatycznych miały więc na celu nie tyle uściślenie terminu, ile wysondowanie opinii na temat perspektyw teatralnego eksperymentu na terenie Łodzi oraz ich osobistego stosunku do tego problemu. Ponadto chodziło nam o ujawnienie „eksperymentalnego nurtu”, oficjalnego lub nie, w działalności naszych teatrów.

## ROMAN SYKAŁA

dyrektor i reżyser Teatru Powszechnego

Teatr eksperymentalny? To problem złożony. Na dobrą sprawę każdy teatr, jeśli chce, może być eksperymentalnym. My również. Oczywiście, nazywamy się Teatrem Powszechnym i nie mamy zamiaru sprzeniewierzać się naszemu „sztylowi”, czego dowodem niech będzie przewidziany w przyszłym sezonie repertuar — sama klasyka. Na naszej scenie pokazemy utwory Dickensa, Lope de Vegi, Rittnera, Dumasa, Szekspira.

Tutaj, pragnąc dobrze spełniać swoje zadania wobec mało lub zupełnie niewyrobionego widza, z jakim przede wszystkim mamy do czynienia, nie możemy sobie „pozwolić” na innego rodzaju pozycje. Dlatego też nasz Teatr Eksperymentalny będzie działał w lokalu, mało dotąd wykorzystywanym, Teatru Ziemi Łódzkiej, przy ul. Kopernika. W ten sposób, mamy nadzieję, zwolennicy lub po prostu ciekawcy współczesnego i nowoczesnego repertuaru oszczędzą na biletach kolejowych do Warszawy. A tego rodzaju repertuar, którego rzeczywiście w Łodzi brak, dopomina się o swoje prawa (przy wydatnej pomocy prasy), należy go wreszcie publiczności pokazać, gdyż jedynie realizacja sceniczna może być sprawdzianem jego wartości.

Chcę zagrać na scenie TZL sztuki autorów, którzy, moim zdaniem, wnoszą do teatru wartości humanistyczne i artystyczne i których twórczość zawiera specyficzne elementy współczesnej dramaturgii. Są to: Pinter, Ionesco, Gibson, Mrożek.

Eksperyment w teatrze i w ogóle w sztuce ma tylko wówczas sens, gdy posuwa bardziej naprzód treści niż formę, gdy pozwala poznać „nowe”, a nie „modne”. Jest to również jedna z odpowiedzi na pytanie, które sobie zawsze zadaję: po co robię to czy tamto, po co eksperymentuję. Poza tym uważam, że tego rodzaju działalność przyniesie korzyść nie tylko widzowi, ale i aktorowi, dając możliwość zaatakowania warsztatu aktorskiego, który jak dotąd pozostał nietknięty, choć w plastyce i scenografii poszliśmy wyraźnie naprzód. Aktor nadal gra realistycznie, a przecież nowy repertuar wymaga nowych środków. Dlatego cieszę się, że zespół aktorski

naszego teatru zapalił się mocno do imprezy, której na imię Teatr Eksperymentalny. Rozpocznie on swą działalność na początku przyszłego sezonu prawdopodobnie „Dozorcą” Pintera lub „Krzesełami” Ionesco.

## TADEUSZ MINC

reżyser Teatru Nowego

Przedstawienie w moim teatrze propozycji byłoby kosztowne. Nie umiałbym się obyć bez dekoracji i kostiumów. Ponadto przygotowanie premiery wymagałoby wiele czasu, ponieważ musiałaby być „zapięta na ostatni guzik”. Jestem zwolennikiem dokładności i precyzji. Uważam, że precyzja jest podstawą każdej sztuki, a teatru w szczególności. Prawdopodobnie dlatego nie umiem pracować z amatorami (próbowałem w jednym z teatrzyków studenckich), a tylko z aktorami zawodowymi.

Teatr musi być teatrem. Wszelkie namiastki czy formy niepełne wyraźnie mi „nie leżą”. Poza tym teatr propozycji, o którym mówimy, miałby za zadanie pokazać publiczności łódzkiej pozycje trudne, a przede wszystkim nowoczesne. Muszę się przyznać, że jeśli chodzi o „nowoczesność” w teatrze, to jestem wobec niej bardzo ostrożny, może dlatego, że jest tak modna. A wszystko co modne wydaje się nieco podejrzane.

Niewątpliwie naszą publiczność należy zapoznać z dramaturgią współczesną, zwłaszcza tą, która zdala egzamin sceny i czasu. Zadanie to jednak, sądzę, powinien spełnić teatr w ramach swej normalnej pracy, a nie przy pomocy tzw. produkcji ubocznej w rodzaju teatru propozycji. Przyznaję, że nasza Mała Sala może tu odegrać pewną rolę. Zarówno jednak w pierwszym, jak i w drugim wypadku, przewiduję trudności natury prozaicznej czyli finansowej — krąg widzów zainteresowanych repertuarem współczesnym jest w naszym mieście bardzo wąski.

## WOJCIECH PILARSKI

dyrektor Teatru Nowego

Pytanie, dotyczące naszego ewentualnego, angażowania się w dziedzinę teatralnego eksperymentu, utwierdza mnie w przekonaniu, że łódzcy literaci i dziennikarze „zaplanowali” na terenie Łodzi, takie czy inne formy teatru eksperymentalnego. Bardzo słusznie. Tylko o wiele łatwiej jest planować niż wykonywać. My, pracownicy teatru, musimy patrzeć realnie na teatralną rzeczywistość, gdyż do nas należy pokonywanie trudności przy realizacji tego rodzaju przedsięwzięć. Zaczniemy od najbardziej prozaicznych. Sztuki awangardowe, to w przytłaczającej większości sztuki obce a więc wymagające dewiz. Ponadto zainteresują one na terenie Łodzi niewielką grupę osób, czyli przyczynią się do olbrzymiego ryzyka finansowego, poprzez spadek frekwencji. Następna trudność to przepracowanie naszych aktorów. Sądzę, że nie należy od nich wymagać, by znaleźli siły i czas na uprawianie tego rodzaju teatru, np. pod postacią teatru propozycji poza normalnym tokiem pracy, nadprogramowo. Konieczny jest tu również reżyser „czujący” awangardową dramaturgię. No i, ostatecznie, teatr musi się liczyć z własnymi planami, które są wynikiem wielu czynników, z których nie najblizsze stanowią potrze-

by młodzieży szkolnej oraz szerszej publiczności. Dlatego nie może być mowy o tym, abyśmy Małą Salę poświęcili wyłącznie eksperymentom teatralnym. Przewidujemy najwyżej dwie tego rodzaju pozycje w ciągu przyszłego sezonu. Będzie to zapewne „wieczór jednoaktówek” i jedna sztuka pełnospektaklowa. Uznajemy przecież konieczność pokazania łódzkiej widowni utworów awangardowych, a także nie możemy pozwolić, by zajmowali się nimi jedynie studenci. Chcemy natomiast Małą Salę uczynić teatrem współczesnym. Nie zawsze jest to jednoznaczne z eksperymentem. Tylko wówczas wystawienie sztuki awangar-

pokazana na scenie sztuka trafi do widza, będzie dla niego zrozumiała. A sztuki eksperymentalne nie zawsze posiadają te atuty.

## FELIKS ŻUKOWSKI

dyrektor Teatru im. Jaracza

Start do teatru propozycji już rozpoczęliśmy. Spektakl nosi tytuł „W świetle dziennym” i jest montażem tekstów Tadeusza Różewicza (m. in. z „Kartoteki”). Potraktowaliśmy go jako próbę, w tej chwili mogę już powiedzieć, że udaną, ze względu na niespodziewanie dobrą reakcją widowni,

wypadła pozytywnie i w związku z tym mamy zamiar w nowym sezonie kontynuować naszą działalność: będą to na terenie Łodzi, poranki, a na terenie województwa — objazdy z Różewiczem.

Przyznam się, że na równi z aktorami zapaliłem się do idei teatru propozycji, tym bardziej że sądząc po reakcji widowni (a przecież mieliśmy do czynienia z tzw. widownią szeroką) ma ona szanse powodzenia. Mniej jestem co prawda pewien czy „chwyci” w Łodzi, ale to nie zmienia postaci rzeczy.



## JANUSZ KŁOSIŃSKI

dyrektor i reżyser Teatru 7.15

W ramach teatru propozycji, o którym zresztą myślimy od dawna, przygotowujemy dwie sztuki: „Odyś w Berdyczowie” J. M. Rymkiewicza i „Homera i Orchideę” T. Gajcego. Dajemy utwory polskich autorów współczesnych, gdyż popularizowanie polskiej i współczesnej dramaturgii jest naszym celem. Imprezie nadamy formę poranków lub też przedstawień późnowiecznych. Tyle dzieje się w Teatrze 7.15. Poza jego terenem współpracuję z STS „Pstrąg” jako reżyser i w tym charakterze przygotowuję, dla „Pstrąga” specjalnie napisane, trzy jednoaktówki pod (roboczym) tytułem „Człowiek na torze”.

Proszę mnie jednak źle nie rozumieć. To, o czym mówię, nie jest ucieczką od Teatru 7.15, od pracy dla chleba w sferze marzeń. Wyzywam się artystycznie zarówno tu jak i tam. Prawdziwy człowiek teatru (a mam nadzieję, że nim jestem) pozostaje zawsze wewnętrznie taki sam, niezależnie od tego czy przygotowuje składankę satyryczną, czy sztukę poetycką, to znaczy czuje się artystą. Takie właśnie i tylko jedno oblicze może mieć praca dla teatru, każdego teatru, inaczej niewiele jest warta.

Teatr awangardowy interesuje mnie po prostu jako zjawisko, interesuje mnie również reakcja publiczności na jego przejawy (można spodziewać się i protestów i entuzjazmu, ale bardziej protestów). Ja sam nie zgadzam się ze wszystkim, co ten teatr zawiera. Osobiście pozostaję pod urokiem przede wszystkim teatru poetyckiego i pewnie dlatego wybraliśmy na początek naszej „ubocznej” działalności w Teatrze 7.15 sztuki dwóch poetów. Otóż wydaje mi się, że teatr poetycki jest „czystym teatrem”, jakimś prądem teatru. Wszystkie inne pochodzą od niego, są stopami, w których teatr poetycki występuje tylko w pewnym procencie, on sam na co dzień byłby może zbyt „kruchy”. Myślę, że od wielkości tego procentu zależy ranga teatru. Nawet krótkotrwałe zetknięcie się z „czystym teatrem” regeneruje siły twórcze i dlatego pewnie obserwujemy wciąż ponawiające się próby twórczości, w różnych miejscach, estrad, scen poetyckich itp. Są to akcje na ogół krótkotrwałe, ale działają intensywnie na twórców i odbiorców, budzą duże zainteresowanie.

Łodzi nie stać na stały teatr poetycki, czy teatr eksperymentalny. Tego ro-

dzaju placówka nie wytrzymałaby po prostu finansowo. Jednakże, choć w skromnym zakresie, należy działać na tym polu, chociażby bez aplauzu publiczności.

## KONRAD LASZEWSKI

reżyser Teatru Nowego

Teatr propozycji jest pojęciem szerokim, tym samym może on egzystować pod różnymi postaciami i w myśl różnych założeń. Osobiście np. nie zgadzam się z kierunkiem działania „Teatru 13 Rzędów” w Opolu, który przede wszystkim pragnie zaskoczyć widza „udziwnieniami”. Natomiast racja bytu teatru propozycji, czy teatru eksperymentalnego (różnica tylko w nomenklaturze) zawarta jest moim zdaniem w jego różnorodności i nowoczesności. Inaczej mówiąc, powinien on zapoznać publiczność z wszystkimi przejawami współczesnej dramaturgii.

Jestem jednak pesymistą i uważam, że projekt zorganizowania w mieście typu Łodzi, sceny eksperymentalnej o charakterze zawodowym jest nierealny. Bądźmy zresztą szczerzy — chodzi tu bardziej o „honor domu” niż o rzeczywiste potrzeby publiczności. W ośrodkach małych, jak np. we wspomnianym już przez mnie Opolu, ożywione zainteresowanie teatrem jest wynikiem trybu życia na prowincji. Nuda i snobizm czynią ludzi intelektualistami. W Łodzi rytm życia jest inny, a nurt kulturalny, trzeba to przyznać, dość żywy (ale stanowi on jakby naturalny składnik życia miasta) i niesie ze sobą możliwość zażywania wielu innych rozrywek poza teatrem.

Niemniej należy znaleźć wyjście z tej sytuacji. Gdyby tak np. każda łódzka scena (oczywiście w granicach zdrowego rozsądku) uwzględniła w swym repertuarze sztuki nowoczesne, gdyby wspólnymi siłami wszystkich teatrów utworzono placówkę w rodzaju krakowskiego Teatru Rapsodycznego lub „teatru słowa” (nie wymaga kostiumów ani dekoracji, a więc nie jest kosztowny), albo zorganizowano cykl poranków... Nie wiem dokładnie. W każdym razie jedno uważam za niewątpliwie, że w związku z tego rodzaju imprezą należy wykorzystać możliwość pokazania publiczności łódzkiej Witkacego. Mogłaby go nawet zaryzykować Mała Sala.

Teatr propozycji, w jakiegokolwiek formie, powinien więc w Łodzi powstać, zwłaszcza jeśli istnieje tu grupa ludzi, której na nim zależy. Należy jednak pamiętać, że teatr bez widza jest instytucją martwą i dlatego winien mieć ów przyszły eksperyment formę w miarę możliwości przystępną. Inaczej będzie działaniem w próżni. Ze współczesną dramaturgią jest tak jak z współczesną prozą i poezją — mało kto chce i potrafi ją rozumieć i mało komu się podoba. Ale trzeba dać możliwość publiczności poznać ją a głównie zobaczyć (gdzie jest to dziedziną sztuki bardziej do pokazywania niż propagowania), nawet gdyby przedsięwzięcie nie zostało uwieńczone powodzeniem.

Wypowiedzi zapisała: KRYSZYNA WOJTASIK



ROMAN SYKAŁA



TADEUSZ MINC



WOJCIECH PILARSKI



KONRAD LASZEWSKI



FELIKS ŻUKOWSKI



JANUSZ KŁOSIŃSKI

dowej ma sens, gdy niesie ona z sobą treść współczesności i tylko wówczas może spełniać swój cel, czyli przyczynić się do wychowania widza, do jego „wewnętrznej wzrośnięcia”. Tylko taka sztuka, jak sądzę, znajdzie odbiorcę poza wspomnianą już małą grupą osób. Przecież celem naszego teatru winno być zainteresowanie szerszego ogółu współczesną dramaturgią — oto jest sedno zagadnienia — a zainteresowanie tylko wówczas uda się wywołać, gdy

na razie prowincjonalnej. To duża satysfakcja dla zespołu aktorskiego (A. Kulikówna, Z. Nowicki i J. Zbióróg), który podjął tę akcję bezinteresownie, po prostu z wewnętrznej potrzeby i mimo ciągłego braku czasu, na który przecież wszyscy cierpimy. Popieram tę działalność również i z tego powodu, że stanowi ona świetną szkołę dla aktora. Nowe formy teatralne wymagają przecież nowych środków aktorskich.

Jak powiedziałem, próba



# Chorągiew pознаńska zwycięza

Prawde mówiąc Poznań był kolebką polskiej telewizji — tej z prawdziwego zdarzenia, nie tej eksperymentującej w Instytucie Telekomunikacyjnym w Warszawie. Pamiętam, że po raz pierwszy zobaczyliśmy telewizję na Targach Poznańskich, gdzie nadajnik „europejskiej”, nie zaś domowej konstrukcji prezentowała francuska firma La Radio Industrie. Nie pamięta tego poznański dziennikarz, autor jubileuszowego felietonu na pięciolatek tutejszej TV umieszczonego pod koniec kwietnia w „Gazecie Poznańskiej”. Mniejsza zresztą o to. Liczy się właściwie dopiero pierwszy program stałego zespołu TV, a ten miał miejsce 1 maja 1957 roku. Oglądało go wtedy 100 odbiorców. A mimo to o prądzie polskiej TV warto pamiętać, choćby z tego względu, że potem o ten pierwszy francuski nadajnik szły boje między miastami. Wszyscy chcieli mieć go u siebie. To był początek wielkiej wojny telewizyjnej. Jaka rozpoczęła się w kraju i jaka trwa do dziś. Każdy chce mieć lepszą aparaturę, wyższy maszt, większy zasięg, nowoczesniejszy wóz transmisyjny, więcej pieniędzy na program, więcej okładek na antenie ogólnopolskiej, studia, liczniejsze tory kamerowe, filmowe kamery do zdjęć stu procentowych, laboratoria, automatyczne radiolacze...

Bój trwa! Kto ma lepszy społeczny komitet rozbudowy, ten zwycięża! Poznańska chorągiew powiewa w tej chwili dumnie nad armią telewizjonistów. Dyrektor Paluchowski wyznaje otwarcie, że „nie ma kłopotów z Warszawą”. Ma na to dowody: Poznań przygotował w tej chwili średnio 10 audycji ogólnopolskich w miesiącu. W perspektywie ma 15, ale wymaga to uzupeł-

nień technicznych sprzętu, głównie kamerowego. Poznań zabiega o pozostawienie na miejscu polskiej aparatury prezentowanej na Targach (a pokazywanej obok na zdjęciu). Nawiasem mówiąc, stara się o to również Łódź, która ma tę przewagę iż leży bliżej stolicy a inżynierowie z WZT, którzy zespół ten zamierzają oddać do próbnego, a więc kontrolowanej przez siebie eksploatacji, wola jeździć niedaleko.

Poznań nie ma kłopotów twórczych — mówi dalej dyr. Paluchowski. Jest tu silne, dodajmy, znane już z powszechnym uznaniem. Tak samo audycje muzyczno-rozrywkowe w reżyserii J. Hofmana mają swych stałych widzów. Pamiętamy liczne transmisje z Opery Poznańskiej i koncertów symfonicznych. Mniej ma do powiedzenia to miasto w dziedzinie teatru, ale skoro tak jest, nie ma specjalnych w tym względzie ambicji.

Tak więc, samochcąc, przeszliśmy do omówienia programu poznańskiej TV i do jej perspektywy. W tej chwili obok audycji ogólnopolskich Poznań przygotowuje ok. 10 godz. programu lokalnego w miesiącu, głównie filmowego i audycji publicystycznych ze studia. A studio ma to miasto większe niż studio łódzkie.

W rozmowie z dyrektorem Paluchowskim porucam już temat programu. Skoro Poznań robi tyle audycji ile zachce, skoro społeczny komitet rozwoju TV zebrał już ponad siedem milionów złotych na kupno wozu transmisyjnego i skoro na podwórku poznańskiej TV stoi zaplombowany angielski wóz transmisyjny — eksponat z



Polska kamera telewizyjna dla studia, skonstruowana przez Warszawskie Zakłady Telewizyjne.

Targów, istne cudo techniki... (Na kogoż on czeka?)

„Skoro w Górze pod Srebrnem już buduje się wielki ośrodek nadawczy — to jeśli Poznań nie nadaje jeszcze tyle, ile mógłby, sedno tkwi chyba w kłopotach technicznych?”

— Rzeczywiście — powiada dyrektor — dotychczasowe łącza są odwracane ręcznie, co zabiera 25 minut przy każdym przełączeniu i powoduje 50-min. przerwę w odbiorze programu ogólnopolskiego ośrodków w Poznaniu i Szczecinie. Jednak budowa radiolinii Berlin — Poznań — Łódź (i dalej) rozwiązała te trudności. Byli i są kłopoty z zasięgiem, który wynosi obecnie do 50 km. Ale ośrodek nadawczy w Górze będzie miał nową aparaturę o zasięgu ponad 120 km. a maszt o wysokości 300 metrów. A ma być oddany w przyszłym roku...

I to byłoby wszystko.

Tak! Właściwie tak, gdyby nie smętne myśli, jakie opadają łodzianina po zrehabilitowanej wyżej rozmowie. Długo „nie dawaliśmy się nabierać” na społeczny komitet rozbudowy telewizji. Inne miasta zrobiły to wcześniej, dysponują dziś znacznymi funduszami, a rozwój bazy technicznej ich ośrodków TV jest poważnie zaawansowany. Sa spokojni o przyszłość. My dopiero teraz zaczynamy się troszczyć o łódzką telewizję. Jak dotąd umieliśmy tylko zgłaszać pretensje pod adresem Warsza-

wy; że obcina budżet, że nie daje części zamiennych do aparatury, że traktuje nas jak prowincję... Ale jeśli np. dyrektor LOT zażądał audycje, reżyser z entuzjazmem brał ją na warsztat, a mityczna diwa w Warszawie bez słowa ją odrzucała, na to bez słowa godził się dyrektor i reżyser. Warszawa nie mogła poważnie traktować Łodzi. Jeśli bowiem ktoś nie potrafi obronić swego zdania, należy go prowadzić za rękę.

Podobnie wyglądała u nas sprawa troski o całą technikę telewizyjną, ale to już poniekąd zostało wyżej wyłożone. Miejmy nadzieję, że społeczny komitet rozwoju telewizji (jego oficjalna nazwa jest dłuższa) wniknie w te wszystkie sprawy, i że dzięki temu łódzki ośrodek dorówna choćby tylko Poznaniowi.

W. MACHEJKO



# ARTYSTA i przechodzień

O Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych głośno jest w Łodzi — i nie tylko w Łodzi — od szeregu lat. Nie będę więc pierwszym — i z pewnością nie ostatnim — który ten temat podejmuję. W fakcie tym nie byłoby niczego nadzwyczajnego — uczenia to przecież znakomita, a jej znaczenia i bezspornych związków z naszym miastem nie muszę przypominać — gdyby nie to, że ukuto przy tej okazji sporo mitów i nieodpowiedzialnych opinii, które nieraz krzywdziły szkołę, a na pewno wypaczały jej charakter i profil artystyczny. Doroczna wystawa prac studentów PWSSP jest doskonałą okazją do zrewidowania niektórych poglądów i opinii.

Łódzka Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych — i to trzeba sobie od razu wstępnie powiedzieć — nie jest, jak większość tego typu uczelni, tylko szkołą malarstwa, bądź też szkołą grafiki. Nie jest ona też szkołą zawodową „przyczającą” artystyków dla potrzeb przemysłu, jak to wielu zwykło sądzić. Mimo pozornego prymatu sztuk użytkowych (lub jak kto woli stosowanych) w programie nauczania, jest ona sensu stricto uczelnią artystyczną. Nie wykracza poza ramy założonych programowych uczelni artystycznych w Polsce, zachowała jednak własny profil artystyczny i ściśle określony charakter.

Nawigując do tych kierunków w sztuce, które w historycznym rozwoju włączyły się z przemysłem, Szkoła Plastyczna w Łodzi oparła swój program na przesłankach estetycznych w pełni odpowiadających wymaganom tempa i dynamiki życia współczesnego człowieka. W murach jej ożyły wtedy idee Bauhausu — słynnej w latach międzywojennych uczelni artystycznej na zachodzie Europy, której problematykę na gruncie Polski przeszczepili grupowania artystyczne „Biulet”, „Praesens”, „art”. Podejmując te tradycje, stała się wyraziście postawiona artystycznie, które żądały usunięcia barier dzielących artystę od techniki, które postulowały koordynację twórczych wysiłków dla otrzymania nowego dzieła artystycznego, będącego syntezą sztuki i techniki.

Choć w szkole działała trzy studia na prawach wydziałów: Studium druku na tkaninach, Studium tkanwa i Studium odzieży, to jednak największy nacisk — jak już wspominałem — kładzie się tu głównie na wszechstronne, ogólnokierunkowe wykształcenie plastyczne i humanistyczne, będące dopiero podstawą poszczególnych specjalizacji. Właśnie ta wszechstronność artystyczna stanowi bodaj najbardziej charakterystyczny rys łódzkiej uczelni. Najlepszym sprawdzianem trafności założeń programowych PWSSP w Łodzi była czynna wystawa prac jej studentów. Przepyszna ta ekspozycja, prezentując największy, bardzo bogaty dorobek twórczy uczelni, pozwoliła skonfrontować ambicje i aspiracje szkoły z jej

osiągnięciami — i przyznać muszę, iż zestawienie to raz jeszcze potwierdziło jej wysoką rangę artystyczną. Stojąc wobec niezmiernego bogactwa wystawy, rozmieszczonej we wszystkich niemal salach czteropiętrowego budynku Wyższej Szkoły Plastycznej, z konieczności trzeba się ograniczyć wyłącznie do zanotowania rysów ogólnych.

Nadzwyczaj pięknie i bogato — mimo zbytecznego natłoku prac — prezentował się na wystawie dział malarstwa. Reprezentowało go 6 pracowni rysunku i malarstwa. Prymat sztuk użytkowych nie deprecjonuje bynajmniej w programie nauczania takich przedmiotów jak malarstwo i rzeźba. Przeciwnie — to właśnie one zdają się mieć decydujący wpływ na wielokierunkowe poszukiwania twórcze młodych adeptów łódzkiej uczelni plastycznej. Najlepszym tego dowodem było większość ekspozycyjnych na wystawie prac malarzkich, których oddziaływanie zwłaszcza na pracownice działu druku na tkaninach i działu tkanwa dało się szczególnie wyraźnie zauważyć. Tak więc dział malarstwa nie rezygnując z ambicji operowania czystą formą malarstwa stanowi jednocześnie punkt wyjścia dla poszczególnych dyscyplin specjalistycznych. Podobnie, ale w odniesieniu do zagadnień przestrzennych, daje się scharakteryzować pracownię rzeźby, kierowaną przez prof. M. Szadkowskiego.

Mimo dużej ilości prac malarzkich i rzeźbiarskich, ironia wystawy stanowił jednak kilkanaście pracowni specjalistycznych i pomocniczych. One to właśnie nadawały ton całej ekspozycji. Nie sposób wchodzić tutaj w szczegóły i omawiać poszczególne prace, a nawet tylko określić ogólny charakter tej części ekspozycji. Obok niezbyt może widowiskowych, ale niezwykle interesujących, zaskakujących oryginalnością koncepcji i śmiałością realizacji obu pracowni podstaw kompozycji (prof. prof. L. Kunka i S. Fijałkowski) oraz katedry kompozycji i podstaw architektury (prof. M. Wimmer) — znalazły się tu wszystkie pracownice projektowania tkanin. Poszukując właściwych form wykorzystania wiedzy malarzkiej w tkaninie, pracownice te pragną przełamać przestarzałe konwencje zarówno druku na tkaninach, jak i samego tkanwa, przede wszystkim zaś dążą do podniesienia skąpaności dekoracyjnej do rangi rzeczywistego dzieła sztuki, przez integralne związanie jej z architekturą i zastosowaniem koncepcji malarzkiej w procesie tworzenia. Największym zaskoczeniem dla zwiedzających okazał się jednak dorobek ściśle specjalistycznych pracowni: projektowania odzieży (prof. prof. W. Borowska i K. Prayzner) oraz galanterii (prof. L. Kowalewicz). Niezwykła pomysłowość w oparciu o dużą sprawność techniczną i dobry gust daty tu nadzwyczaj piękne rezultaty.

## sedno rzeczy MARIAN PIECHAL

# W poszukiwaniu straconego sensu

Wiele rzeczy nie ma sensu. Tak było od początku świata. Zdawałoby się, że ludzie powinni się byli od dawna do tego przyzwyczaić. Ale tak nie jest. I to jest dobre.

Dobrze jest, że ludzie ciągle narzekają na bezsens w życiu, że się na niego nie godzą, że ciągle przeciw niemu protestują. A już najbardziej gorszy ich i oburza brak sensu tam, gdzie spodziewają się go najwięcej. A więc w literaturze i w nauce. Te dwie dziedziny według powszechnego mniemania to takie formy działalności ludzkiej, których

profesjonalna niejako i obowiązkowa specjalnością jest walka z bezsensiem w każdej jego postaci.

Tymczasem ostatnimi czasy w tych właśnie dwóch dziedzinach dzieją się dziwne, a nawet przedziwne rzeczy, które przeczą nie tylko zdrowemu poczuciu rozsądku, ale wprost świadczą o świadomie uprawianym kultcie bezsensu. Zwalcząca w literaturze i sztuce co do wielu spraw wydaje się, że sa stawiane na głowie czyli do góry nogami. Rzeczywiście praktyka niektórych tzw. nowatorskich tendencji w sztuce czy literaturze po-

twierdza to powszechne mniemanie. Oto przykład z utworu pewnego współczesnego poety (nomina sunt adiosa):

„Leżę od niechęcenia mi się  
wierzyć leżę  
z tobą na stałe w nocy na  
dzień wstałe

twoje nieswoje wtedy  
dokarmelam  
choć dzielim z tobą za  
bardzo niedzielam”

Ten utwór (Norwid powiedziałby: potworek) nosi tytuł „zsmartwieńsiulpet”. Co to jest: bredzenie niemowlęcia czy bełkot umysłowo niedorozwiniętego? Ktoś może powiedzieć, że autor chciał w tym utworze przez się jako formę wyrazić zamęt, chaos i bezsens naszych zamkniętych czasów. Ale w takim razie jest to sposób najłatwiejszy, a więc nieskuteczny, bo banalny. Gdy

okręt tonie, szuka się ratunku, a nie dopomaga się, żeby szybciej i skuteczniej zatonał. Literatura bowiem fak jak wszelka sztuka, tudzież nauka to ciągle i nieustanny opór i sprzeciw wobec permanentnego zalewu nas przez chaos, wobec atakującego nas

bezwzględnie i stale zjawiska śmiertniczości entropii.

Jednak chciałbym, jeśli nie stanąć w obronie „bezsensu” w literaturze, to przynajmniej usprawiedliwić go niejako — jakimś głębszym sensem, który może się wyrazić w paradoksalnej i przekornej formie bezsensu. Można to zilustrować przykładami pozornego bezsensu w innych dziedzinach twórczości ludzkiej, jak na przykład w nauce, gdzie sens abstrakcyjny, wynikający z poprawnego zastosowania zasad logiki okazuje się nieraz istotnym bezsensiem w praktyce

czy też w realnym doświadczeniu życia. I oto znowu przykład rozprawy pewnego współczesnego uczonego filozofa (nomina sunt adiosa):

„Stosunek czasowy jest obojętny dla powiązania przyczynowego: przyczyna nie musi poprzedzać skutku może nawet nastąpić po nim”.

No, widział to ktoś coś podobnego? Nasz uczyony twierdzi ni mniej, ni więcej, że człowiek na przykład może umrzeć, zanim się narodzi albo utopić się, zanim wpadnie do wody. Ponieważ czas w logice może być wyłączony, a więc nie odgrywać żadnej roli, wtedy następstwo istotne może nie zachodzić w czasie i być odwrócone czyli skutek może poprzedzać przyczynę. To tak może być w abstrakcyjnym rozumowaniu uczonego, ale nie w realnej praktyce życia codziennego. Oto do czego można się dogadać, rozumując jak najlogiczniej: do oczywiście bzdury

A więc bezsens święci swoje triumfy także i w nauce współczesnej. A zatem czyż nie należy nieco ostrożniej formułować swoich zarzutów wobec oczywistych dla wszystkich bezsensów w literaturze i sztuce? Czy czasem nie są one założone świadomie i programowo? Czy nie są przypadkiem przekorna i przewrotną formą poszukiwania straconego sensu, ale w znaczeniu poszerzonym i pogłębionym? I właśnie sztuka, a zwłaszcza literatura, jako wierne zwierciadło życia, odbija ten właśnie zachwiany i przejęsiony stan naszego czasu. Obywatela, zastanówmy się nad tym! Żyjemy w okresie, kiedy sens i bezsens w jednym stoją domu. Jest to czas próby i wyboru. Los zdaje się nam podpowiadać: wybierajcie!



Teczka z aktami sprawy nie różni się od innych, tak samo różowych akt skierniewickiej prokuratury. Zaopatrzone są w kolejny numer. Zawiera zdjęcia i plany, opis wypadku, arkusze z zeznaniami świadków. Nazwiska i imiona, podpisy, notatki prokuratora. Wszystko dokładnie ułożone, kolejno posegregowane. Normalna procedura śledztwa, staranna i precyzyjna.

Każda z teczek powinna odpowiadać na pytanie: Kto winien? Kto stanie przed sądem? Kogo oskarża prawo? Sprawa o zabójstwo Henryki W. jest inna. Dowody winy są zebrane. Sprawcy znani. Nigdy nie staną jednak przed sądem. Kodeksy prawne nie zawierają paragrafów, które by mogły ich postawić w stan oskarżenia.

Kim była Henryka W.? Miała piętnaście lat i chodziła do pierwszej klasy Zawodniczej Szkoły Zawodowej w Skierniewicach. Mieszkała w szkolnym internacie. Pochodziła ze wsi Teresina, z małej wioski położonej na krańcach powiatu. Miała jeszcze młodszego rodzeństwo. Była pierwszym dzieckiem odanym do miasta „na naukę“.

P. Kmita — jej nauczyciel i wychowawca — tak o niej opowiada: — „Była dzieckiem skromnym i cichym. Początkowo miała kłopoty z nauką, jak zresztą większość dzieci, przychodzących do nas ze wsi. Miała jedną ocenę niedostateczną z rosyjskiego, ale ją poprawiła w trzecim okresie. Była pracowita. Nie słyszałem nigdy, by ktoś się na nią skarżył. Ani nauczyciele, ani koleżanki. Była nieśmiała i mało przedsiębiorcza. Jej temperament nie wskazywał na to, by mogła zachowywać się agresywnie“.

Taka BYŁA. 19 maja o godzinie 18.03 Henryka W. zginęła pod kołami autobusu PKS nr IB 17-46.

\*\*\*

Naprzeciw dworca kolejowego w Skierniewicach jest mały plac. Po jednej stronie postój taksówek, po drugiej przystanek PKS, oznaczony zwykłym znakiem. Mało tu domów, tylko dworzec, szary i zadmiony. I pociąg co chwile z loskietem przejeżdżający przez stację.

Tak było i wtedy. Tylko, że senny, jednostajny widok placu, ożywił tłum niespokojnie oczekujących ludzi.



EWASULIBORSKA I ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

## Tam, gdzie prawo jest bezradne

Mężczyźni wracający do domu po pracy, wiejskie kobiety z koszami pełnymi mięsnych zakupów. Ci, dla których skierniewicki przystanek autobusowy był jednym z etapów podróży. I ci, którzy po tygodniu spędzonym w powiatowym mieście, jechali odpocząć do domu na wieś. Byli też uczniowie skierniewickich szkół jadący do rodziców. Wśród nich 15-letnia Henryka W. W sobotę na skierniewickim przystanku jest szczególnie dużo ludzi. Wszy-

cy na niedzielę jadą na wieś. Wtedy, 19 maja, było ich o wiele więcej niż mogło pomieścić się w samochodzie PKS. Oczekiwanie na przyjazd dwóch autobusów (do Rawy Mazowieckiej i do Białej Rawskiej) i trudno było się zorientować, który będzie bardziej przepełniony. Wszyscy więc niecierpliwie cisnęli się wokół złotego znaku, jak najbliższej krawędzi chodnika.

Zbliżyła się godzina 18. Samochód PKS nr IB 17-46 jadący z Łodzi przez Główno do Białej Rawskiej przyjechał na plac przed dworcem.

Mówi konduktor wozu Bronisław Zabezyński: — „Ja mówię do kierowcy, niech pan podjedź wcześniej, widzi pan ile ludzi, to ja szybciej zabiletuje i będzie spokój. Wyszliśmy na przystanek przed dworcem i podjeżdżaliśmy do przystanku, przy którym się wsiada jeszcze przedtem zabrałmy kobietę z dzieckiem, bo z maleństwem w tym tłoku by się nie zabrała i wolno, wolniusię podjeżdżałaby pod przystanek. Może było jakieś dwadzieścia metrów“.

Kierowca Stanisław Głowacki: — „Zajechałem pod dworzec od przeciwnej strony. W Skierniewicach ulice są rozkopane i musiałbym wiele razy wykręcać, autobus jest mało zwrotny, ciężki, więc od razu ustawiłem go w kierunku na Białą Rawską i podjeżdżałem wolno, jak tylko mogłem najwolniej, przez cały czas dając sygnał.“

Dłatego drzwi wejściowe autobusu (są tylko jedno) były po przeciwnej stronie przystanku, od strony placu.“

Świadek wypadku Genowefa N.: — „Tłum przelazł przed samochodem. Wszyscy rzucili się do drzwi. Niektórzy uwiesili się klamką i biegli za podjeżdżającym autobusem. W pewnym momencie ktoś się wyrwali, a na niego inni“.

Milicjanci będący na miejscu wypadku: — „Była dokładnie 18.03. Widziałem ludzi obalonych w ilości piętnastu. Między innymi byli Aldona L., Krystyna G. Inni przelecieli przez nich i pchali się do drzwi“.

Aldona L. — uczennica IV klasy Technikum Ekonomicznego: — „Leżałam na samym dnie, na bruku. Okropnie bolały mnie potłuczone kolana i bok. Sukienkę miałam podarta. Kiedy padałam, wszystko mi się powysypywało z kieszki. Ja stałam z daleka, właściwie nie lubię się pchać, ale pedacyz motloch zabrał mnie ze sobą. Kiedy podniosłam głowę zobaczyłam tuż tuż koła samochodu i starszego pana, który był bardzo blisko“.

Krystyna G.: — „Byłam jakiegoś pięć, sześć metrów od niej. Widziałam jak się przewróciła. Zaczęłam krzyczeć...“

Kierowca: — „Miałem po przeciwnej stronie kierownicę otwarte okno. Usłyszałem krzyk: „Stać“, „O Boże“, czy coś takiego... Natychmiast zahamowałem i wyskoczyłem... Siedziałem po przeciwnej stronie. Autobus jest wysoki, nie nie widziałem. Dopiero ten krzyk... A wszystko to trwało parę sekund...“

Aldona L.: — „Jeszcze leżałam na ziemi kiedy zobaczyłam trupa. Mieszkałam z nią w tym samym internacie. Zaczęłam okropnie płakać. Widziałam, jak ona zapisywała się w pani na wyjazd do domu, zrobiła to dosłownie w ostatnim momencie. Widziałam, jak biegła na przystanek. Płakałam, bo pomyślałam sobie, że to ja mogłabym być na jej miejscu. Pomyślałam sobie o swojej matce, bardzo by rozpaczała. Zrobiło mi się słabo“.

Zofia J.: — „Stalam na chodniku, jak usłyszałam krzyk, przeszłam na drugą stronę autobusu, widziałam, jak się ludzie podnosili. Pod pierwszym kołem zobaczyłam głowę, właściwie tylko podbródek i ten mózg tuż obok koła“.

Biegły, który przyjechał na miejsce wypadku stwierdził: — „Cieński woz PKS przy namowieniu cofnął się do tyłu 10 centymetrów, 10 centymetrów ślad krwi, na przednim prawym kole wskazuje miejsce, pod którym zagowała się głowa dziewczynki. To 10-centymetrowe cofnięcie się autobusu do tyłu wysłarczyło do zmiażdżenia czaszki“.

Mieczysława J.: — „Jak to się stało, zaczęłam krzyczeć, było nie ludzie, wenehnel dziecko pod koła“.

Genowefa N.: — „Ja n'erwsza do niej podszłam. Miała podarte policzki, pokopane nogi, zadarta sukienkę. Tak, że jej ją poprąwiłam. Płecz miła brudny, widocznie ktoś musiał ją podeptać, gdy się przewróciła.“

Funkcjonariusz prowadzący śledztwo: — „Jeden ze świadków zeznał, że on także znalazł się pod kołami, tylko w ostatniej chwili zdołał oderpnąć się od nich rekoma. Komentarz milicjanta był taki: „Nie jestem pewien, czy to nie on, ratując własne życie wepchnął Henrykę W. pod koła. Nie mamy jednak żadnych dowodów“.

Zastępca komendanta milicji: — „Do późnych godzin nocnych tłum obserwował na esze poczynania. Podnosił inny dziwięk samochód, pobliży plany i zdjęcia. Zainteresowanie wypadkiem było duże. Wszyscy komentowali wydarzenia, czekali winnych. Ludzie są żądni sensacji. Przez parę dni wiele się u nas o tym wypadku mówiło.“

Pytałimy świadków. Zadałszy im pytanie, kogo oskarżają, kto spowodował śmierć dziewczynki, Oto ich odpowiedzi: „Kogo teraz sądzić? Chcę sądzić, to trzeba się znać na prawie... Tych pasażerów, to jak ja może sądzić? Jeden drugiego pchał, zamknął jednego, to drugi powie, panie, przecież mnie też pchał... No w ogóle wszyscy pchali się. Wszyscy z orzodu pchali się na wóz i nie można było dać sobie z nimi rady. Żeby nawet było czterech funkcjonariuszy, też by sobie nie dali rady...“

„Trudno mi jest właściwie sądzić, ale zasadniczo powie ożalabym, że jest duża wina pasażerów, którzy cisnęli się do autobusu. Winy szostera nie ma, podjeżdżał bardzo wolniutko“.

„Przed wszystkim dyreke a PKS — dlatego że nie ma autobusów. Jest tylko o szóstej i wóół do jedenastej rano i o osiemnastej. W sobotę jest zawsze bardzo, bardzo dużo ludzi. Uważam, że gdyby było więcej autobusów, przynajmniej w soboty, kiedy ludzie jadą na wieś, to na pewno by się to nie stało. Powinno być kasa, gdzie można kupić bilety. Wtedy każdy miałby miejsce i by się tak nie pchali. Winie też ludzi. Niewychowani są, pchają się“.

„Każdy pcha się, nie patrzy, żeby tylko sam się dostał. Czy ktoś o czyjeś życie dba? Kto się zabierze, to zabierze. Żeby każdy wsiadł, że pojedzie, to by się nie pchał. W soboty i w dni targowe powinny być „Bisy“ tak jak w innych miastach“.

Kogo postawi prokurator w stan oskarżenia? Śledztwo nie zostało jeszcze ukończone. Dotychczasowy przebieg badań wskazuje na to, że sprawa, z braku winnych, została umorzona. Archiwum Prokuratury Powiatowej wzbogaci się o jeszcze jedną różową teczkę... Dzie czynię wepchnął pod koła samochodem tłum „szurmujący“ drzwi. Jak oskarżyć i ukarać „lud“? Kogo uczynić odpowiedzial-



Piszę ten list z przedziału kolejowego. W przedziale na ścianie ktoś napisał ołówkiem: „Zorro jestem — nikogo się nie boję“. Myślę, że ten ktoś kiedyś bał się bardzo silnie i bardzo długo. Kiedyś, zanim jechał pociągiem i zanim napisał, że jest Zorrem. Podobno wszyscy urodzeni jesteśmy i żyjemy w lęku. W starożytności lekaliby się nawet bogowie, dopiero średniowiecze przyjęło Boga wolnego od lęku. Czasy nowożytne przyjęły Zorrra... Wyznam Wam teraz bez ogródek — znam Zorrra osobicie. Pracowałem pod jego rozkazami przez wiele lat, oczywiście nie wiedziałem wtedy, że to Zorro, nazywałem go natiwie dyrektorem i przynosiłem listy, które podpisywał, gwizdając cicho przez zęby. W poczekalni Zorra czekało kilkanaście osób — siedzieli z podaniami w rękach, przyszli żeby podziękować, poprosić, przedyskutować, zaprojektować — niektórzy wyrażali radość, inni gniew — wszystko na jali leciutkiego podniecenia i lęku. Dyrektor przyjmował ich grzecznie, każdego witał w progu gabinetu, każdego odprowadzał do drzwi. Rozmawiał krótko, rzeczowo, niekiedy do poznania sprawy wystarczało mu jedno bystre spojrzenie. Rzucił je na przyjmowanego, podtrzymując zwinnym ramieniem słuchawkę telefonu i podpisując piórkem. Gwizdał sobie przy tym bardzo cicho przez zęby. Przepraszał przyjmowanych i nagle wzywany biegł do dyrektora generalnego. Wracal szybkim krokiem i przyjmował dalej. Wieczorem pojawiał się u podległych mu instytucjach — stawał, wszedłszy przez nieznanne drzwi, przed śpiącymi strażnikami nocnymi, obliczał belki wokół wzniesionych budowli. Samochodem

du używał bardzo rzadko. Wizytowałem z nim kiedyś wieczorem podległe placówki. Nie mogłem nadziąć za biogąncym.

Biegnąc za tramwajem uzgadniał ze mną plan konferencji. Podawał mi szybko i jasno punkty referatu, który miałem wygłosić i jednocześnie wskazywał do pędzącego tramwaju. Skoczyłem za nim i spadałem już pod koła drugiego wagonu, gdy chwycił mnie żelazną garścią i uniósł w powietrze mówiąc: — „Ponadto proszę poświęcić parę minut sprawom organizacyjnym — to wszystko“ — i postawił mnie na platformie tramwaju. Nigdy nie dostrzegłem u niego oznak lęku — nikogo się nie bał. Często myślałem, że pracując na tym stanowisku, ucieklebym w pewnym momencie przed interesantami oknem. On chwalił sobie tę pracę, mówił, że teraz wypoczywa po poprzednich, trudniejszych zatrudnieniach. Pewnego dnia poprosił mnie do gabinetu i zaproponował objęcie jego dyrektorskiego stanowiska. — „Przechodzę“ — mówił — na zastępce dyrektora generalnego i uważam, że pan może objąć moje stanowisko“.

Zaraz kończę, bo pociąg, w którym piszę, podskakuje i chybocze. Przeczytałem jeszcze raz napis: — „Zorro jestem — nikogo się nie boję“. Niżej widniały zamarte już prawie słowa: „I mogę Cię wsadzić w konia“. Ale ja wcale nie chcę być „wsadzony w konia“, nie męcz mnie, Zorro! Myślałem o napisie — widocznie nie jeden Zorro jest u nas w Polsce. Ale jak jest z Wami, czy list ten piszę do Zorrrów? Bo ja wcale Zorrem nie jestem. Lękam się wielu rzeczy, lękam się w tej chwili czy nalezycie odczytanie mój list, list Kogoś, kto bardzo pragnie postrzymać swój lęk, swoją twogę.

A wtedy, w gabinecie odpowiedziałem twardo: „Nie, nie chcę być dyrektorem, pragnę pozostać referentem, pragnę być młodszym referentem, pragnę zostać zastępcą referenta“. Pożegnał mnie, ukazując w usmiechu mocne białe zęby i wtedy go właśnie poznałem. Nie nosi maski, aby nie dać się poznać, ale ma ją na pewno w teczce. A spadę cho- wa w swoim ogromnym, dyrektorskim biurku.

nym za śmierć — „Mordercy są w tłumie — oświadczył biegły na miejscu wypadku. — W tłumie, który teraz obojętnie przygląda się naszym poczynaniom“.

Wobec prawa sprawy śmierci dziewczynki właściwie nie istnieją. Nie ma podstaw do oskarżenia, nie ma dowodów winy. Nie można nikogo spośród tego tłumu oskarżyć. Pozostaje tylko to, co nazywamy „sumieniem“ I ono powinno oskarżać tych, którzy 19 maja spowodowali śmierć dziewczynki.

Nikt, spośród tych, którzy czekali na przyjazd autobusu, nie przyznaje się do udziału w zbrodni. Nikt nie czuje się winnym, nikt nie nazwała siebie mordercą. A jednak to właśnie ci ludzie zamordowali Henrykę W. To oni są mordercami. Koła samochodu to tylko przypadkowe narzędzie zbrodni.

Konduktor: „Kiedy wykończyłem z wozu — w kilka minut po wypadku — nie było nikogo, nikogośięko w ogóle... Cały tłum gdzieś uciekł. A kiedy przyjechała do nas z Łodzi podmiara, to jak mówił mi konduktor tamtego autobusu, co Rawy pojechało tylko 10 osób. Dosownie. Reszty nie było... Zostały po nich puste miejsca i ten trup...“

Milicja przesłuchała jako świadków wypadku 8 osób. Wszyscy twierdzą że stali z daleka, że tłum pedzących ludzi porwał ich ze sobą. Wszyscy są oburzeni. „Bydło nie ludzie“, mówią. Nie przyznają się do winy. Nie oni są sprawcami wypadku i nikt za śmierć dziewczynki nie odpowiada. Nikt nie po- czuje kary. Różowa teczka złożona na półkę w prokuraturze powiatowej czeka ten sam

los co wszystkie akta spraw sądowych, w których postępowanie umorzono z braku dowodów winy. Zaksięgowana i pokryta kurzem, będzie zapomniana.

Komendant milicji: — „Myślę, że ludzie zrozumieją, myślę, że śmierć dziewczynki będzie sygnałem alarmowym dla całego „społeczeństwa“.

Dyrektor szkoły: — „Przypuszczam, że władze i ludność miast wziętna odpowiednio wnioski. Do skierniewickich szkół dojeżdża 30 proc. uczniów. Przedsiębiorstwo PKS powinno odpowiednio zabezpieczyć dojazd młodzieży do miasta.“

„Gdyby były chociaż bariery na przystanku, i „bisy“ — wdychali wszyscy nasi rozmówcy.“

Konduktor autobusu, Bronisław Zabezyński: — „Kilka dni temu pylem znowu w Skierniewicach. Jak było, tak jest. Prosiłem, ludzie, nie pchajcie się... gdzie tam, proszę nie pomagaj. Pchają się jak dawniej. Nie sie nie zmienilo. Nawet śmierć dziecka niczego ich nie nauczyła.“

A przecież każdego spośród ludzi, którzy 19 maja usiłowali wsiadć do autobusu nr IB 17-46 mógł spotkać ten sam los. Na przystanku byli mordercy i ofiary ich bezwzględności.

Rozpatrzyć problem winy i odpowiedzialności. Pomyślimy o śmierci Henryki W. nie tylko tak, jak myśli o losie jednostkowym. Nie tłumaczymy wypadku brakiem dodatkowych autobusów i psychologia tłumu.

Jak my sami zachowaliśmy się 19 maja na skierniewickim przystanku?

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

# POŻEGNANIE

nieruchoma klamka szeleszczy płaskim ciche kroki klamka na której spoczęło spojrzenie chruścieł zwiłr w płasku znikną ślady zachód sypie sivy popiół na trawę szary popiół i kroplę krwi

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

## PRZEGLĄDAJĄC SIĘ W KAŁUŻY

Styczeń jak topielec we mgle nad dachami styczeń zanurzony w kałuży brudnej gdzie na dnie spoczywa moja głowa planeta obca w tamtym niebie jak na ekranie uciekając przed topielem styczenia gdzie pójdę odwrócony do góry nogami

w powietrzu krąży stare zegary przeszłość się mierzy długością cienia — tyle jest we mnie rzeczy spalonych a ile do spalenia.



TWO MEN IN A BOAT

Mr. Black and Mr. White were crossing a river in a small boat. Mr. Black said:

— Do you know anything about the Milky Way?

— No, I don't, — said Mr. White.

— I am very sorry for you, for a quarter of your life is lost. And do you know anything about atoms?

— Oh, no, I don't.

— I am very sorry for you, for a second quarter of your life is lost. And, perhaps, do you know anything about pathology?

— Oh, no, I don't know anything about it. I have never heard anything about it.

— I am very sorry for you, for a third quarter of your life is lost.

— But now I want to ask you a question, — said Mr. White. — Can you swim?

— Oh, no, I can't, — said Mr. Black.

— I am very sorry for you then, — said Mr. White, — your whole life is lost, for the boat is sinking.

A PRIVATE CONVERSATION

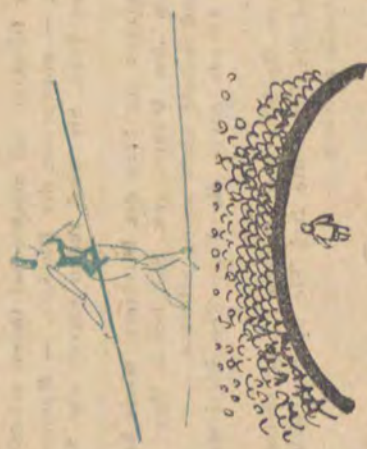
I was at a theatre. I was sitting behind two women. The women were talking together. I said to one of them:

— Pardon me, madam, but I can't hear...

The woman said:

— This is a private conversation, sir!

Marie putzte den Anzug des Direktors. Da fand sie in den Taschen viele Zuckerstücke in den Taschen. Sie legte den Zucker in die Zuckerdose.



Dann kam der Direktor, nahm den Anzug und ging in den Zirkus. Marie ging auch.

Die Vorstellung begann. Der Direktor hatte eine Nummer mit einem grossen Elephanten. Die Nummer gefiel dem Publikum. Der Direktor wollte dem Elephanten ein Zuckerstück geben. Er steckte die Hand in die Tasche, aber...

Der Elefant wurde nervös. Er wartete noch eine Weile, aber Zucker bekam er nicht. Der Direktor sagte: — Sei ruhig. Später bekommst du dein Zucker.

Aber der Elefant wollte nicht warten und schlug den Direktor mit dem Rüssel. Alle Menschen lachten und klatschten Beifall. Aber Marie war sehr traurig.

Advertisement for 'Magdalena' paper, featuring a large stylized 'M' and 'R' logo, the text 'TADEUSZ PAPIER', and 'o rannej godzinie'.

6 Magda i Mariola, bohaterki „Magdaleny” przeżyły najgorsze chwile nie w więzieniu ale po opuszczeniu więzienia. Magda nie wróciła do matki. Zatrzymała się u siostry Marioli, Ireny. Przyjaciółki trafiły właśnie na ślub Ireny. Nie którzy goście weselni, zwiastowała kolega pana młodszego Tosiek, zachowywał się w stosunku do dziewcząt zbyt swobodnie. Magda i Mariola nie czekały już końca wesela i pojechały na Chojny, do ciotki. Tymczasem Tosiek nie daje spokoju dziewczętom. Zatelefonował do nich i zaproponował spotkanie w Grandce. Niestety, i ta randka nie przynosi naszym bohaterkom zadowolenia. Dziewczeta składają wizytę Geografowi, który nakłania Magdę do kontynuowania nauki. Magda „wpada w oko” Kostkowi, synowi Geografa. Następnego dnia Kostek odwiedza Magdę. Na scenie pojawia się także Narcyz.

Jeszcze tego brakowało, abyśmy zaczęli wspominać o różnych sprawach. Boże święty! Słuchaj, Magda, musisz się zobaczyć z Mariolą! — zagadywał Narcyz. „Można, ale po co?” — zaważyłam. „Mam do niej interes. Od Boruty. Boruta przesyła jej pozdrowienia”. „Kto to jest Boruta?” — wtracił się Kostek. „To kumpel — odpowiedziałam — znajomy Marioli”. „Fajny kumpel” — potwierdził Narcyz. Co za rech! Ze też Narcyz musiał się właśnie dzisiaj napatoczyć!

Przyszła wreszcie ciotka i z miejsca powiadła na mnie: „Cóż ty, Magda! Sprawadzasz sobie gości? Kim panowie są?” „To Kostek, ciotciu, syn Geografa. A to Narcyz”. Żeby pan zobaczył w tej chwili minę ciotki. Do Kostka uśmiechnęła się oczami, ustami i całą twarzą. Nawet dygnęła przed nim czy coś w tym rodzaju. Ubaw nie z tej ziemi. Natomiast na Narcyza ledwie spojrzęła. Za dużo słyszała o nim, aby się zdobyć na urzejomość. Walczyła jakiś czas ze sobą, wreszcie wybuchnęła: „To niesłychane. Pan tutaj?”

Myśli pan, że Narcyz się załamał? Nawet nie przestał się uśmiechać. Przyłożył rękę do piersi i powiedział: „Niechże ciotka da spokój. My się z Magdą przyjaźnimy. Prawda Magda?”. Myślałam, że ciotka padnie trupem. Nie mogła oddechu złapać. „Jak pan śmie? Co to znaczy? Wypraszam sobie!”. „Nie szkodzi — odparł Narcyz. — Nie gniewam się”. Zrozumiał, że musi przysłać. „Życzę zdrowia szanownej pani. Czoa Magda. Pozdrów Mariolę”. Po jego wyjściu ciotka opadła na krzesło. „Niech pan wybacz — powiedziała do Kostka — nie mogłam inaczej postąpić”. Kostek nie ukrywał swojego zadowolenia. „Rozumiem, proszę pani — powiedział do ciotki,

— Są różni ludzie na świecie”. „Właśnie, panie Kostku. Są ludzie i ludzie”. Żeby pan widział jakimi oczami spoglądała ciotka na Kostka. Skonać można. Przysięgam, że wiedziałam, o czym ciotka w tej chwili myślała. „Idźcie, kochani do ogrodu — powiedziała — ja się zajmę obiadem”. Ależ byłam zła. Miałam taką miłość, że Kostek wolął nie ryzykować. Miał szczęście, bo bym urządziła porządną operę. Pożalowałby tego. Ukłonił się więc ciotce, okropny frajer, i powiedział: „Dziękuję, proszę pani, nie mogę dłużej zostać. Jeśli pani pozwoli, to przyjdę innym razem”. Ciotce o mało oczy nie wyskoczyły do niego. „Prosimy, prosimy” — powiedziała. Kostek pocałował ciotkę w rękę, ciotka się ugięła w kolanach, jakby robiła jakiś dryg, nie można było na to patrzeć. Coś okropnego, jak się ciot-

ka poniżała przed tym kretyńcem. Kazała mi go odprowadzić do furtki. Byłam taka wściekła, że gdy otwierałam furtkę, zapytałam go: „Czy miałeś już kiedy przyciętą z dziewczyną?”. „Jaką przyciętą?” — zdziwił się, albo udawał zdziwionego. Facet chyba nie był aż tak naiwny, żeby nie wiedział, o co chodzi. „Nie udawaj. Miłostka przycięta”. „Co ci to strzeliło do głowy?”. „Tak się pytam. Nie wolno?”. Strasznie się zaczerwienił. Nie patrzył mi w oczy, ale na dekolt, okropny facet. Wreszcie wykrztusił: „Dlaczego jesteś taka zła, Magda?”. „Nie wyglupiaj się, Kostek — powiedziałam. — Po co tu przyszedłeś? Podziwiać ogród ciotki? Nie? To może powiesz, że jestem dla ciebie wszystkim, całym światem?”. Wiem, zagalopowałam się, ale trudno, słowa padły, dlaczego wreszcie miałam się nim przejmować? „Jesteś niemożliwa” — powiedział zachrypniętym głosem. Nie zdobył się na nic dowcipniejszego. „W każdym razie nie licz na mnie” — rzuciłam mu na pożegnanie. Odskończył ode mnie tak, jakby się czym oparzył. Opera nie z tej ziemi.

Wróciłam do mieszkania, a ciotka dopiero zaczęła mnie obskakiwać. Trajkotała, jakby była nakręcona. „No wiesz, Magda, nareszcie jestem zadowolona. Ten Kostek to porządny chłopak”. „Po czym to poznałaś?” — zapytałam. „No wiesz? Nie widzisz tego?”. „Strasznie nudny” — powiedziałam. „Magda! — ciotka chwyciła ścieżkę, jakby mnie chciała uderzyć — on jest naprawdę czarujący. Jak dobrze ułożony, a przy tym pochodzi z dobrej rodziny”. „Coś podobnego! — krzyknęłam. — Dalszy ciąg na str. 10

AT A RAILWAY STATION

Two men stood drinking at a bar near a railway station. They were waiting for a train. The train was just coming in.

— We have time for just one more drink, — said one of the men.

They ran out, but they missed the train.

They went back to the bar. An hour later they missed the second train again in the same way. Two hours later they missed the third, then the fourth, the fifth...

The sixth train was just coming in.

— We have time for just one more drink, — said one of the men. Then they ran out. One of the two men could run fast and he caught the train. But the second man could not run fast and he missed the train again.

He went back to the bar. The bar-keeper asked him:

— To what town is your friend going?

The man answered:

— I do not know where he is going. He came down to the station to see me off.



ER DACHTE

Kaiserin Maria Teresia wollte eine Partie Schach spielen. Ein Offizier sollte mit ihr spielen.

Sie setzte sich an einen Tisch und das Spiel begann. Nach einiger Zeit wurde das Spiel sehr interessant. Die Kaiserin und der Offizier wurden nervös. Jeder von ihnen wollte gewinnen. Beide spielten gut, aber der Offizier war etwas besser. Er sagte:

— In zwei Zügen ist Schach Matt.

Die Kaiserin sagte kein Wort und machte einen falschen Zug. Der Offizier wurde noch mehr nervös und sagte:

— Du, verfluchtes Weib. Was machst Du?

— Verzeihen Sie, Majestät... ich, ich, ich dachte, ich, ich, ich spiele mit, mit, mit meiner Frau.





A man said:  
— I talk to myself for two reasons: first I like to talk to a sensible man; second, I like to hear a man of sense talk.



MARIE IM ZIRKUS

Eines Tages kam der Zirkus in die Stadt. Jeden Abend war Vorstellung. Viele Menschen kamen in den Zirkus. Auch die achtzehnjährige Marie. Die Vorstellung gefiel ihr sehr, auch die Tiere.

Am nächsten Tag las Marie in der Zeitung: „Der Zirkus-Direktor sucht ein Mädchen für häusliche Arbeiten. Gute Belohnung.“

Marie ging mit der Zeitung in die Küche. Dort war ihre Mutter und ihr Vater. Die Mutter kochte etwas und der Vater rauchte am Fenster seine Pfeife. Marie sagte:

— Mutti, der Zirkus-Direktor sucht ein Mädchen für häusliche Arbeiten. Hier steht es in der Zeitung. Ich bin achtehn Jahre alt und möchte schon arbeiten. Die Arbeit im Zirkus ist sehr interessant. Dort sind schöne Tiere. Man kann mit dem Zirkus weite Reisen machen, auch andere Länder sehen...

— Was denkst du darüber? — fragte die Mutter den Vater.

Der Vater sagte kein Wort. Auch die Mutter wusste nicht was sie sagen soll.

— Warte bis morgen. Wir müssen mit dem Vater darüber nachdenken. Morgen werden wir darüber sprechen.

Marie konnte die ganze Nacht nicht schlafen. Sie stand auf und ging an das Fenster. Sie sah den grossen Zirkus. Der Mond schien hell.

Am Morgen ging Marie zur Mutter. Begrüsste sie herzlich und fragte:

THE FARMER AND THE STORK

A farmer had a field of corn that was nearly ripe. One day he noticed that a number of crows were coming to his field and eating his corn. He said:

— If I let those crows eat my corn, I and my family shall go hungry in the winter. I shall put a net in the field and catch them.

So the farmer put a net in his field and went home. The next morning he went to the field to see how many crows he had caught. There were many of them, and among them he saw one stork. The farmer said:



— Hallo, there is a stork among them. How did he get into the company of crows?

The stork began to speak:

— Let me go. I am not a crow. I have eaten none of your corn. I am a poor stork, as you can see. I am the best and kindest of birds. I help my father and mother. I...

But the farmer did not let him say any more:

— All this may be true, perhaps. But I know that I have caught you with those who eat my corn. You must suffer with those with whom you are caught.

— Nur darf ich im Zirkus arbeiten?

— Ja, — sagte die Mutter kurz und umarmte ihre einzige Tochter. Marie küsste ihre Mutter und ging in den Zirkus.

— Herr Direktor, ich möchte bei Ihnen arbeiten.

— Gut, — antwortete der Direktor. — Kommen Sie mit zu meiner Frau. Sie wird Ihnen sagen, was Sie zu tun haben.

Beide gingen zur Frau des Direktors. Marie brachte ihre Sachen in den Wohnwagen. Sie began ihre Arbeit im Zirkus und musste nicht wenig arbeiten.

Eines Abends sagte die Frau des Direktors zu dem Mädchen:

— Putzen Sie bitte den braunen Anzug meines Mannes, dann sind Sie für heute frei. Sie können sich die Vorstellung heute ansehen.

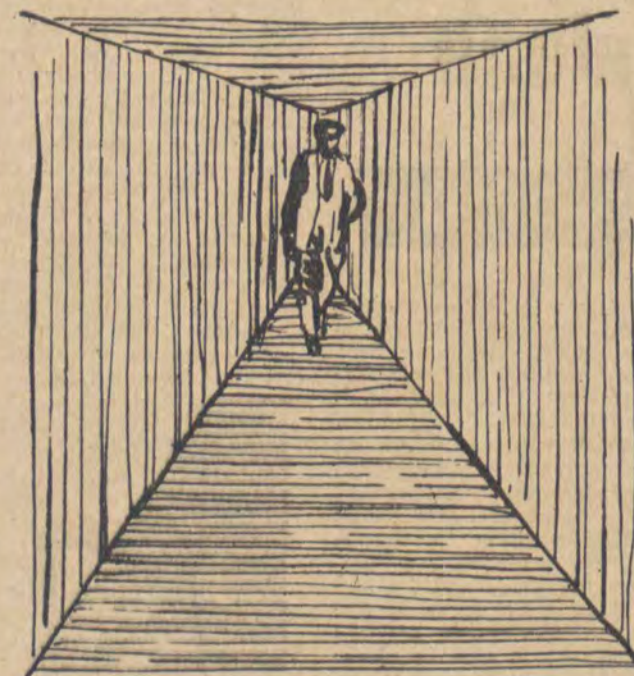


Dalszy ciąg ze str. 9

Co ciocia może o tym wiedzieć? Wie pan, okropnie żał mi się jej zrobiło, żeby pan widział jej oczy, były takie, jakby za chwilę miała ryknąć płaczem. Jeszcze tego brakowało! Odwróciła się ode mnie i zaczęła przestawiać garnki na kuchni. Rzuciłam się jej na szyję z taką siłą, aż wywaliłyśmy się na podłogę. Całowałam ją po rękach i po twarzy. „Dość już, ty wariatko!“ — zawołała. Przeprosiłam ją, ale znowu o mało nie wybuchnęłam, gdy powiedziała: „Magda, ty nie wiesz, co to znaczy dobry człowiek“. Boże święty! Więcej przeszłam w życiu, niż się ciocie zdawało.

Wieczorem wróciła Mariola. Była tak podniecona, że nie mogła usiedzieć na miejscu. „Mam pracę“ — oznajmiła. „Coś ty, Mariola! Naprawdę?“ — zapytałam. „Co to za praca? Od kiedy? Gdzie?“ — ciocia chciała znać wszystkie szczegóły. Mariola odpowiedziała: „U jednych państwa. Znajomi tego doktora, którego poznaliśmy na weselu u Ireny. „Jakże to? Jakaż to praca? Na co ty się kierujesz?“ „Ciocia nie wie, co to za praca? — powiedziałam.

Winszuję, ale nie zazdrościsz. Ciotka usiadła z wrażeń na krześle. Mariola zastrzeżila nas tym wyznaniem. Boże kochany! Jakże to! Mariola zgodziła się za pomoc domową! Wolalabym już kraść albo w ogóle nic nie robić. Nie mogło mi się to w głowie pomieścić. „Nie pójdziesz do żadnego państwa — zdecydowała ciocia. — Nie pozwolę“. Usiadłyśmy w końcu wszystkie trzy, Mariola wyciągnęła papierosy i zapaliłyśmy. Mariola wyglądała na ucieszoną, ale nie dałabym trzech groszy za jej samopoczucie. Udawała wesołość, to jasne. „Niech się ciocia nie boi — powiedziała. — To są starsi państwo i nie idę tam na stałe“. „Dziękuję — odparła ciocia. — Może jeszcze powiesz, że jesteś strasznie uradowana“. „Więc będziesz przyjeżdżać na noc?“ — zapytałam pospiesznie. „Jeśli ciocia mnie nie wygoni“ — odparła. „Jesteś głupia i tyle — powiedziała ciocia. — Ja na samą myśl o tym, na co się zgodziłaś, taka mam ogromną ochotę przetrzepać cię po tyłku... Cóż — westchnęła — wy zawsze jesteście mądrzejsze“. Jeszcze przed chwilą klóciłam się z ciotką, a teraz byłam całkowicie po jej stronie. Ciotka podobała mi się coraz więcej. Nie ma co, strasznie fajna babka z ciotki. Ale byłam ciekawa, jak doszło do tego wszystkiego. „Opowiadaj, Mariola — powiedziałam — umrę z ciekawości. Byłaś może u Ireny?“ „Wracam od niej“ — odparła. Co pan powie na tę całą hecę? Mariola spotkała u Ireny doktora i ten doktor polecił pracę u tych państwa. Cholerne sympatyczny facet z dok-



tor, pamiętałam go dobrze z wesela, on był właśnie ze wszystkich mężczyzn najfajniejszy, a okazało się, że ma taką niezręczną rękę. Po sądziałam go o więcej rozsądku. Ale Mariola chyba nie była do tego stopnia naiwna, aby oszaleć z powo-

mi powiedziała, że Tosiek szkuje jakiś ubaw. Irena z Lodkiem też są zaproszeni. „Więc Irena wiedziała o naszej randce z Tośkiem?“ — zapytałam. „Nie było o tym mowy — odparła Mariola. — Ale wydaje mi się, że Lodek był bardzo zadowo-

Nie mogę ścierpieć, jeżeli ktoś kogoś oszukuje. Bardzo przykre doświadczenia mam w tym względzie i to mnie chyba tłumaczy. Ciotka dała nam wreszcie sygnał do spania, ale zanim zasnęłyśmy, powiedziałam jeszcze do Marioli: „Wiesz co, z kole ja mam dla ciebie bombę“. „No?“ — zapytała Mariola. „Był tu Narczyk“. „Niemożliwe. Tutaj? U ciotki?“ „Naprawdę był!“ — mówiłam szeptem, bałam się, żeby ciocia nie słyszała. Niepotrzebnie tak ciszałam głos, bo ciocia już spała, miała taką naturę, że ledwie przyłożyła głowę do poduszki, natychmiast oczy jej się kleiły i zasypiała. „I co mówił?“ — pytała Mariola. „Kazał cię pozdrawić, powiedział, że Boruta również cię pozdrawia. Narczyk chce się z tobą koniecznie zobaczyć“. Mariola miledzała chwilę, a potem dodała: „Muszę się z nim zobaczyć“. Rano ciocia i Mariola pojechały do miasta, a ja leżałam jeszcze z godzinę pod koldrą. Potem zjadłam śniadanie, była dopiero dziesiąta, wzięłam u Geografa miałam naznaczoną na dwunastą, wyszłam więc do ogrodu. Wzięłam ze sobą pierwszą lepszą książkę, ciocia miała kilkanaście książek, kupowała od czasu do czasu, ale nie mogłam jej czytać. Był to jakiś kryminał, nie lubię kryminałów, wcale mnie nie ciekawią losy złodziei czy podrywaczy, do tego niech jeszcze autor zamknie swojego bohatera w ciupie, koniec świata!

lam oczy. Boże święty, jak lubię się opalać. Godzinami mogłabym leżeć na plaży. Strasznie dobrze się czułam na tej ławce. Z dala dochodziły odgłosy miasta, szum taki, jak nad morzem. Nie byłam nigdy nad morzem, ale wyobrażałam sobie, jak tam musi być fajnie. Boże kochany! Słońce, woda i piasek. Gdzieś w tym dalekim szumie miasta, który tu na Chojny ledwie dochodził, jakiś czuły aparat mógłby rozróżnić stukot maszyn fabryki ciotki, hałaśliwe tramwaje, samochody. Może dałoby się złapać i pojedyncze głosy. Można by nastawić takie ucho na poszczególny dom i mieszkanie. Rany, jakbym chciała podsłuchać, co teraz robiła Mariola i co mówiła. Dałabym wiele za to. Co za kretynka ze mnie! Takimi bzdurami zajmować głowę! Już dzisiaj nie pamiętam, o czym myślałam jeszcze. W końcu zasnęłam na tym stołcu, ale to był strasznie męczący sen. Przyniło mi się więzienie, że chodzimy z Mariolą po celach, że nas badają, a najgorsze, że tym sędzią, który nas badał, był Szczur. Ubrany był w czarną togę, śmiało się okropnie i w gębie widać mu było tylko jeden ząb. Straszny sen. Zmordowałam się jak nigdy. Wie pan, te sny więzienne często mi się potem powtarzały, bardzo się ich bałam. Zbudził mnie dzwonek od furtki. Zerwałam się na równe nogi. Na razie nie mogłam się zorientować gdzie jestem i co robię. Dopiero na drugi dzwonek pobiegłam do furtki.

Nie chcę nawet o tym myśleć. Więc rzuciłam książkę na ławkę, odwróciłam twarz ku stołcu i przymknę-



# Kilka uwag o Disneylandzie

Z niezrozumiałych względów nauczyciele w naszym mieście nie wykazują specjalnego zainteresowania dyskusją: „TV a Twoje dziecko”. A przecież ten temat kogoś ma zainteresować, jeżeli nie pedagogów? Faktem jest, że telewizja już teraz wywiera ogromny wpływ na najmłodsze pokolenie. Mój głos w tej dyskusji będzie głosem przy-

szłego nauczyciela i wychowawcy, a mam nadzieję, że sami pedagodzy wypowiedzą się jeszcze na ten temat. Chciałbym się zająć w tym miejscu audycją, która przy ciąga do odborników rzeszę dzieci, a także dorosłych. Każdy już odgadł, że mowa o „Disneylandzie”. Audycja ta oglądana jest chętnie przez

przede wszystkim dla dzieci. W czym leży orczyzna niezwykłej popularności programu Disneya, która rozpoczęła w 1928 r., trwa nieprzerwanie do dnia dzisiejszego. Znajdą i kochają jego bohaterów filmowych dzieci całego świata. Disney potrafi pokazać dzieciom świat dla nich najbliższy: świat wybujałej fantazji, ale oprócz tego Disney uczy i wychowuje. Jego filmy rysunkowe podbiły świat we wszystkich zakątkach naszego globu, mimo opozycji i protestów. Cóż, chociaż nam wolno potępiać przesadzającą formę rysunku, orczytnością i ilustracje z niemieckich bajek końca XIX w., jednak taka właśnie forma najbardziej odpowiada najmłodszym widzom, a to jest argument nie do zdźcia. Dlatego w dziedzinie filmu animowanego. Disney długo jeszcze nie będzie miał równych sobie przeciwników. Ale filmy rysunkowe i „Klub Myszki Mickey” to tylko bardzo dobra zabawa, a Disney ma ambicje nauczania. Robi to w swoich filmach przyrodniczych. I w tym gatunku jest niezrównany. Z zadziwiającą uwagą nasi młusińscy oglądają życie egzotycznych zwierząt. Poznają pustynie, prerie, obcują z różnymi przedstawicielami świata zwierzęcego.

Wiedza dużo o lwach, pumach, żyrafach, bizonach itd., a wiadomości te na pewno im się przydadzą. W filmach tego rodzaju zwierzęta grają samych siebie, nie ma sztucznych sytuacji, a umiejętna dramatyzacja nie pozwala na nudę. Wartości poznawcze przykryte są tu pozornie zabawą, co stanowi o ich świetności pedagogicznej. „Disneyland” to nie tylko zwierzęta, często występują w nim ludzie. I znów podróżujemy po Antarktydzie czy Wyspach Sampa, poznajemy życie, obyczaje, kulturę mieszkańców. Poglądowość audycji Disneya nawiązuje o tradycji pedagogicznej Komenckiego („Omnia sensum in picturis”) — „świat zmysłowy w obrazach”. Od tamtych czasów nie się nie zmieniło i dawna zasada pedagogiczna należy wciąż do podstawowych w nauczaniu. Filmy przyrodnicze Disneya mają dużą wartość pedagogiczną. Oddziaływując na sferę zmysłów dziecka, potrafią przez to wiele nauczyć. Toteż mimo trwania tej audycji od przeszło dwóch lat, budzi ona zainteresowanie i łobrze się dzieje, że jest nadal nadawana. Nasi młusińscy są za to na pewno wdzięczni naszej telewizji.

T.W. student filologii



## WIELKA SZANSA dla TRYBUNY

Oczywiście — szansa dla Trybuny Telewizyjnej. I to szansa poważna, którą potwierdzają wciąż wzrastająca popularność tej audycji, skutki praktyczne, jakie w konsekwencji pociąga ona za sobą, wreszcie jej interwencyjno-krytyczny charakter.

O popularności świadczą listy telewidzów, napływające do redakcji Trybuny, których jest tyle, że Trybuna prowadzi już w chwili obecnej działalność dwutorową. Pierwszą śledzimy wszyscy na małym ekranie, natomiast druga opiera się na zaocznej interwencji, podobnie jak czyni to radiowa „Fala 59” czy „Muzyka i aktualności”. Jednak Trybuna Telewizyjna posiada znacznie większe możliwości praktyczne oddziaływania od wszelkich, stosowanych dotąd interwencji prasowych lub radiowych, ponieważ kamera konfrontuje bezpośrednio „face to face” obydwie strony — „winowajców” i „poszkodowanych”, nie dając prawie czasu do namysłu, a zatem nie pozwalając na budowanie zwalich i wykrętnych argumentacji. Jakże łatwo jest poprowadzić korespondencyjną polemikę z zarzutami prasy czy radia — instytucja wynajduje wtedy odpowiednie okólniki, powołuje się na zarządzenia oraz inne „przyczynki obiektywne”, enigmatyczne pi-semka, zreszcie — bo bezosobowo zredagowane, wędrują sobie powolutku, a ich autorzy mają sen spokojny. Niestety, ci, którzy odpowiadają w Trybunie, są pozbawieni tych przywilejów. Trybuna skończyła z premedytacją biurokratycznego wymigiwania się od odpowiedzialności. Kamera jest bezwzględna i nie oszczędza nikogo. Zreszta, w tych zderzeniach przed kamerą, biorą udział nie tylko przedstawiciele zainteresowanych i oskarżonych instytucji. Przez czas trwania audycji, dyżurujące telefonistki zapisują wszelkie uwagi zgłaszane na gorąco przez telewidzów, a zdarza

się i tak, że właśnie telewidzowie są autorami praktycznych rozwiązań, jakie Trybuna postuluje w zakończeniu.

Ostatnia Trybuna Telewizyjna (29. VI.) była szczególnie aktualna, a jej temat — nie obcy żadnemu z nas. Jest lato — wciąż tylko kalendaryzmo! — ale jest, a więc sezon urlopowy i czasów rozpoczęty. Jednak nie każdy może pozwolić sobie na kosztowny urlop w modnych miejscowościach, ale każdy pragnie odpocząć, i odpoczynek ten urządzić możliwie wygodnie i tanio. Wielu z nas wyjeżdża po prostu na urlop do podmiejskich Grotnik, Spały czy Kolumby. Trybuna Telewizyjna zaprosiła do dyskusji o urlopowych kilku mieszkańców Warszawy, przedstawiając im inicjatorów popularizowanej ostatnio szeroko akcji „wczasów pod gruszą” oraz gospodarzy miejscowości podwarszawskich, które są znane jako „letniskowe”. Właściwie nie wiadomo co gorsze — wczasy „pod gruszą” czy wczasy „pod miastem”? Ja osobiście spróbowałem i jednego i drugiego. Na tych „pod gruszą” przez dwa tygodnie gryzły mnie i cała moja rodzina legiony pecha, za miękko płacim drożej — „bo prosto od krowy”, a po jarzynie i owocach pedałowałem na pożyczonym od gospodarza rowerze pięć kilometrów do sąsiedniej wsi, gdzie był ogródek. Podobne zarzuty stawiali telewizyjni dyskutanci. Odstąpili również odwrotną stronę medalu wczasów „podmiejskich”. Znamy, to znamy: ceny za pokoje wygórowane i nieuregulowane, zaopatrzenie pod psem, kolejkę po świeże pieczywo, owoce i jarzyny to już w ogóle luksus. I tak dalej, i tak dalej. Oficjalni przedstawiciele usiłowali się bronić, ale biado im ta obrona wychodziła. Sympatia nas, telewidzów, towarzyszyła chyba w tym wypadku poszkodowanym wczasowiczom. Jakże zaś konkretne rezultaty przyniesie ostatnia Trybuna?, tego, na razie, przewidzieć nie można. W każdym razie mieliśmy okazję przekonać się o pozytywnym interwencji Trybuny: na wniosek Trybuny zorganizowano pierwszy samoobsługowy punkt drobnych napraw przy TOS-ie, jakość wyrobów konfekcji niemowlęcej w warszawskim Domu Dziecka wyraźnie się poprawiła, więc — kto wie?, może i wczasy podmiejskie lub wczasy „pod gruszą” zmienią się na lepsze.

Wszystko to piękne, tylko... Tylko szkoda, że Trybuna bazuje wyłącznie na przykładach stołecznych. Wszystko dla Warszawy. Dlaczego do tej pory Trybuna nie wyruszyła w Polskę, tego nie rozumiem. Przecież wielkie szanse dla Trybuny znajdują się w terenie.

KOWALSKI

# TELE WIZJA

## Nasz wywiad

### z Henrykiem Wysockim

Henryk Wysocki należy do ludzi, którzy chociaż znajdując się w samym środku „skrzynki białego człowieka”, nigdy ich nie widzimy na ekranie telewizora. Jest on bowiem inspicjentem, czyli taką szarą eminencją od koordynacji i organizacji audycji telewizyjnych. Podczas nadawania programu każdemu w telewizji wolno się denerwować, wszyscy mogą mieć tremę, ba!, mogą nawet wpadać w ataki szału i hysterii, lecz inspicjent musi do końca być opanowany i zachować zimną krew.

— Czy to prawda, że podczas audycji trzyma pan w garści pęk sznurków i przez odpowiednie pociąganie sygnalizuje poszczególnym pracownikom swoje polecenia — pytam Henryka Wysockiego.

— Ależ nie podobnego. Przestałem to już czynić od dnia, w którym telewizja nasza nadała „Upiory” Ibse-na. Otóż trzeba było tam zrobić deszcz. Postawiłem więc jednego z pracowników obok zbiornika z wodą i przywiązałem go sobie do ręki. Umówiliśmy się, że jak raz pociągnę za sznurerek — odkręci kran, a jak dwa razy pociągnę — zakręci. Niestety, w pewnym momencie pociągnąłem go zbyt silnie, chłopak się przewrócił, a woda zalała całe studio, przemoczyła papierowe dekoracje i omal nie spowodowała katastrofy. Oczywiście działo się to podczas nadawania spektaklu. Na nasze szczęście, mało kto z telewidzów zorientował się w sytuacji, a jeden z recenzentów podkreślił ten moment, jako szczególnie dramatycznie wygrany.

— Na czym polega tzw. „tylna” projekcja?

— Tylna projekcja jest polskim wynalazkiem. Technicznie jest to proces dość skomplikowany, więc pozwolę sobie wyjaśnić go na przykładzie. Stawia się na przykład skuter przed ekranem i uruchamia wentylator nad głową siedzącego na skuterze. W ten sposób imituje się wiatr. Następnie na ekran rzutuje się ruchomy obraz, w tym wypadku szosy lub ulicy i w ten sposób otrzymujemy w telewizji złudzenie szybkiej jazdy.

— Ile kosztuje jedna minuta programu telewizyjnego?

— Koszty eksploatacji urządzeń telewizyjnych są bardzo drogie i oblicza się je w dolarach. Sam nie wiem dlaczego, ale chyba właśnie dlatego, że są drogie. Jedną minutę audycji kosztuje w tej relacji od 4 do 5 dolarów.

— Co robi się z telewizyjnymi dekoracjami po odbyciu spektaklu czy audycji?

— Część drobnych dekoracji się niszczy, część przechowujemy w pracowni, a resztę magazynujemy pod gołym niebem na dziedzińcu wewnątrz wieżowca. Jeśli prawdą jest, że Studio Łódzkie jest większe i lepsze od warszawskiego, to zapleczka w nim w ogóle nie posiadamy. Brak jest także kwalifikowanych rzemieślników. Mamy tylko dwóch stolarzy, 4 maszynistów i 1 garderobianą. A przecież wiadomo, że na ostateczny kształt każdej audycji składa się praca szeregu ludzi o zupełnie odmiennych kwalifikacjach.

— Słownem chciał pan powiedzieć, że łatwiej jest teraz o telewizyjnego reżysera niż o maszynistę...

— Ja tego nie powiedziałem!

— Na czym polega tzw. „tylna” projekcja?

Rozmawiał: K. BADZIAK

## polecamy audycje

W czwartek (15. VII.) o godz. 19.00 ujrzymy angielski film dokumentalny „Słoneczny Meksyk”. Wszyscy, których zainteresowały gawędy Melchiora Wańkowiaka na temat jego obrotu w tym kraju, chętnie obejrzą ten film. O godz. 20.00 Marek Chmielewski i Bogdan Roliski poruszają zagadnienie płynności kadr w programie publicystycznym pt. „Płyną kadry, płyną — rzecz o fluktuacji”. Problem ten będzie przedstawiony na przykładzie znanych zakładów „Ursus”. O godz. 21.00 znowu „Kobra”. Tym razem będzie to widowisko sensacyjno-kryminalne pt. „Kawalerka” P. Jezewskiego. Reżyserem tego spektaklu będzie Józef Stotwinski, a wystąpią m. in.: August Kowalczyk, Andrzej Mularczyk, Zofia Kucówna. Piątkowy (16. VII.) program nosi znamiona wyraźnej „ogórkowości”, a może przyczyna w tym, że to i piątek i w dodatku 13-tego. Radcę obejrzać w ramach „Wszehniczy TV” film produkcji USA pt. „Najbliższa gwiazda” o godz. 18.35. Łódź w programie lokalnym pokaże o godz. 20.00 film fabularny prod. NRD pt. „Tu radio Gliwice”. Jego treścią jest znana powieść niemiecka poprzedzająca wybuch wojny i września 1939 r. W sobotę (14. VII.) o godz. 20.00 Łódź zaprezentuje kolejnego „Klappa”. O 20.35 ujrzymy film fabularny prod. NRD „Miliony Iwetty”. Przedstawiony tu jest problem ekspansji mieszczaństwa, na przełomie wieku XIX i XX. Reżyserował Martin Hellberg, a główną rolę grała Josephine Back, Wolf Keiser, Peter Herden i inni. O 22.25 farsa Andrzeja Mularczyka „Trans-

akcja z miłości” reżyserowana przez Edwarda Dzewońskiego. Z bardziej znanych aktorów wystąpi tu Edward Fidler, Wiesław Michnikowski i sam reżyser. Należy się spodziewać dobrej zabawy. Na zakończenie programu o godz. 23.00 transmitowany będzie z Pragi program rozrywkowy pt. „Piosenka przy kawie”. W niedzielę (15. VII.) o godz. 15.45 wystąpi Zespół Pieśni i Tańca „Krakowiaczy”. O godz. 16.15 w cyklu „Spotkanie z aktorem” ujrzymy recital aktorski Zofii Jaroszewskiej, najpopularniejszej aktorki Krakowa. Wreszcie o 20.45 dawno oczekiwany film prod. USA „Blekitna rapso dia”. W tym roku (11 lipca) mija 25 rocznica śmierci genialnego kompozytora amerykańskiego George’a Gershwina. Poświęcono mu już osobny program w opracowaniu Jerzego Waldorffa, ale to wciąż nie wyklucza pokazania filmu o życiu Gershwina. Wytwórnia „Warner Brothers” wyprodukowała ten film w 1945 r., a reżyserii podjął się Irving Rapper („Przyrody Tomka Sawyer”). „Blekitna rapso dia” pokazuje życie Gershwina od czasu, kiedy kompozytor jako mały chłopiec jeździł na wrotkach, do tragicznej śmierci. Główną rolę gra tu Robert Alda, jako Ira Gershwin występuje Herbert Rudley, w pozostałych rolach ujrzymy Joan Leslie, Alexis Smith, słynnego pianistę i kompozytora Oscara Levanta (nasi kinomanie pamiętają go z filmu „Amerykanin w Paryżu”), znanego pieśniarza Al Jolsona i głównego aranżera Paula White-mana. Dużo ucsta dla miłośników muzyki Gershwina.

„TELEMAN”



Ostatnie sukcesy kosmonautyki amerykańskiej przyczyniły się do jeszcze większego zainteresowania się tym tematem telewidzów w USA. W związku z tym wzrósł procent audycji poświęconych podróżom międzyplanetarnym. Niedawno stacja CBS powtórzyła dla swych odbiorców głośny film telewizyjny o tej tematyce „The Mentor” wyprodukowany jeszcze w 1958 r. Reżyserował ten film Burgess Meredith, a główną rolę odtwarzał Donald O'Connor (znany polskim kinomanom z „Deszczowej piosenki”). Jako córki „króla przestworzy” wystąpiły Carol Morris (Miss Universum 1957) i Leona Gage. Na zdjęciu od lewej: Leona Gage, Donald O'Connor, Carol

Morris i Burgess Meredith podczas realizacji „The Mentor”.

Don Jaime de Mora y Aragon, 38-letni brat królowej belgijskiej Fabiol, stał się bohaterem kolejnego skandalu. Wystąpił on przed kamerami telewizji włoskiej w audycji reklamującej wodę kolońską. Jego udział w tym programie ograniczył się do pokazywania palcem wskazującym butelek z tym płynem. Czynność tę wykonywał bez słowa, stojąc nieruchomo w miejscu. Prasa zachodnia komentując ten wy-czyn, zastanawiała się co nowego wynalazł następnym razem brat królowej Fabiol.

Jeden z największych reżyserów filmowych Rene Clair po powrocie z pobytu w Polsce w 1908 r. oświadczył w wywiadzie prasowym: — „Najbardziej humprystyczne wydarzenie w moim życiu, to wizyta w studio telewizji warszawskiej”. Ciekawe, czy podtrzymałby swe zdanie, gdyby odwiedził teraz warszawskie studio.





# ODGŁOSY

tygodnia

## GŁOSUJEMY-DOTUJEMY

Kapitałny finał miała Konferencja Samorządu Robotniczego w ZPW im. Reymonta. Poświęcona ona była rozwojowi postępu technicznego, ale przy okazji załatwiła bądź odmownie bądź pozytywnie szereg prośb różnych instytucji, stowarzyszeń i związków o... dotacje. Ilość tych prośb świadczy o głębokiej wierze ich autorów w finansowe możliwości zakładu, a jednocześnie jest potwierdzeniem potocznych wyobrażeń z cyklu: zakłady to mają forsy!

Tymczasem przedstawiciele załogi zachodzili w głowę, jak sprostać wszystkim uprzejmym prośbom. Fundusz zakładowy, z którego jedynie można na zaspokojenie tych prośb czerpać, jest pod ścisłą obserwacją pracowników zakładu i każda dysponowana zeń złotówka budzi setki komentarzy.

Odmówiono więc z żalem dzielnicowemu Kolegium Karo-Orzekającemu, które z okazji 10-lecia prosiło o dotacje. Stwierdzono, że praca w kolegium jest społeczna i nagród nawet z okazji jubileuszu — nie potrzeba. Odmówiono również Klubowi Tenisowemu, który także prosił o dotacje. Widać ten elitarny sport nie ma miłośników w zakładzie, bo rzecz przeszła bez dyskusji.

Liga Przyjaciół Żołnie-

rza — to inna sprawa. „Woj-sko na straży ojczyzny” — zakrzyknął ktoś patriotycznie i uchwalono złotych 200 (ten czyn zakładu włączył go w szeregi członków wspierających Lige). 500 zł ofiarowano dzielnicowemu Społecznemu Komitetowi do Walki z Gruźlicą. Kiedy re-ferujący sprawę stwierdził odkrywczo „gruźlica to groźna choroba” — nie było sprzeciwów.

Gabinet Ministra zwrócił się z prośbą do Zjednoczenia, któremu podlega zakład o dotacje na budowę pomnika w Treblince. Zjednoczenie przesłało prośbę do zakładu. Starsi uchwalili natychmiast: 1000 zł. Młodszy słabo wtracili, że może lepiej ratować żywych i dać więcej na walkę z gruźlicą, niż na pomnik, ale zostali przegłosowani. Wszystko odbywało się bowiem demokratycznie i przepisowo. Głosowano kto „za”, kto „przeciw”, kto się „wstrzymał”. Emocjonalne ustosunkowanie do problemu decydowało o poszczególnych dotacjach. Atmosfera przypominała trochę taką publiczną zabawę w filantropie, z tym, że sam „filantrop” miał cholernie mało pieniędzy i chętnie by skorzystał z... dotacji. Westchnienie ulgi wyrwało się z 34 piersi, kiedy okazało się, że już nikt o nic nie prosi.

## ROZWODY

Obserwujemy ostatnimi czasy wzrost liczby wniosków rozwodowych — w czołowej kroczy woj. katowickiej, w r. ub. wpłynęło tutaj do sądów powiatowych 4.401 wniosków rozwodowych, za nim Warszawa — 3.644 wnioski, a na trzecim miejscu Łódź — 1.531. Ogółem w kraju w r. 1960 było wniosków rozwodowych — 31.534, w r. ub. — 32.631. Ze statystyki sądowej wynika, że przyczyną rozkładu pożycia małżeńskiego najczęściej są zdrady, alkoholizm, niedobór seksualny, rozrzutność, skłonności do awantur itp. Przeważają rozwodnicy w wieku 30-40 lat, a więc nie młodociane małżeństwa. Trafiają się także paradoksalne mezalianse: np. w jednym przypadku żona miała 53 wiosny, mąż zaledwie 19. Rozwiedli się sądowo po kilku latach pożycia. W Łodzi zdarzył się natomiast wypadek, że małżeństwo trwało trzy dni. Przyczyną rozwodu był niedobór seksualny.

W związku z przyplwem wniosków rozwodowych prosił Wysoki Sąd, aby zechciał skrupulatnie badać przyczyny, a w przypadku istnienia dzieci przy wyznaczaniu obowiązków alimentacyjnych zwracał baczniejszą uwagę na kwalifikacje wychowawcze ojca lub matki. W interesie społecznym i rodzinnym.

## Grzywny, koszty i zaległości

Ku przestrodze tych, którzy uśmiecha się lekki chleb, przestępcy bądź pieniacza, musimy przypomnieć, że obok kary więzienia istnieją także koszty i grzywny sądowe. Przy czym, na ogół sady, niezgorzej sobie radzą z ich ściąganiem. Np. w ub. r. sady w Łodzi i na terenie województwa wyegzekwowały ponad 12 mln zł tytułem grzywn i ok. 10 mln zł kosztów sądowych. W tym samym czasie w całym kraju sady ściągły zasądzonych grzywn i kosztów na sumę ok. 500 mln zł. Oczywiście są to sumy b. poważne — jako że niestety pieniaczy, przestępców gospodarczych i innych u nas nie brakuje. Mimo to zaległości z orzeczonych i nieściągniętych grzywn do tej pory wynoszą w woj. łódzkim prawie 10 mln zł.

Potrzeba zatem więcej troski i pieczołowitości ze strony sądów i komorników... aby życie przestępcze nie zwodziło na pokuszenie.

## ...i bimbru się też napiją

Za pędzenie bimbru grozi kara więzienia do lat pięciu i grzywny do 30 tys. zł. Ko-deks karny bierze więc „bimbrarzy” pod włos i dlatego co roku rzedną ich szeregi. W roku 1960 spraw o nielegalne gorzelnictwo było 1.219, w roku ub. — 1.006. Spadek daje się zaobserwować nawet w ulubionej „kollebbe bimbrarzy” w woj. białostockim, lubelskim, rzeszowskim. Jeżeli np. w 1958 w woj. łódzkim było takich spraw aż 398, a w samej Łodzi — 12, to w ostatnich latach jest ich mniej prawie o połowę. Więc cóż, bimbru się nie napiją. Kręci się iza w oku „bimbrarzem” żadnym zysku.

## Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Foto A. Kobylński

## WNIOSEK POSZEDŁ DO KOLEGIUM

Większość wniosków o ukaranie sprawcy wykroczenia składają z reguły milicjanci. To oczywiście ich obowiązek. Alści wypływają tu na wierzch pewne mankamenty związane ze sporządzaniem wniosków o ukaranie i ze składaniem odwołań od niesłusznych orzeczeń kolegium. Przykłady z łódzkiego podwórka: w jednej z posesji przy ul. Tokarzewskiej na Bałutach dzielnicowy stwierdził naruszenie przepisów sanitarnych i porządkowych. Machnął więc wniosek do kolegium przeciwko dozorczyńce Reginie K. Tymczasem później się okazało, że faktycznym dozora jest nie Regina K. lecz jej mąż. W wyniku mylnie sporządzonego wniosku sprawca wykroczenia nie został ukarany.

Ob. Władysław J. rozrabiał po pijanemu na ulicy i nie chciał się wylegitymować przed milicjantem. Wniosek o ukaranie do kolegium wpłynął dopiero po pięciu miesiącach zwłoki. Kolegium musiało umorzyć postępowanie. Odwołania składane przez funkcjonariuszy MO od niesłusznych orzeczeń kolegium należą do rzadkości, np. Jan S. awanturował się w stanie nietrzeźwym i używał słów wulgarnych. Kolegium błędnie oceniło materiał dowodowy i niewinności awanturnika. Jeden z robotników wywołał awanturę w hall fabrycznej. Kolegium uznało, że awantura wywołała mniej hałasu niż pracujące w hall maszyny(!) i niewinności na tej podstawie sprawcę wykroczenia. Odwołania nie było, a szkoda, jako że dura lex sed lex.

LEN

## SAMOCOHODY ZJADAJĄ DOMY

Do roku 1980 w Łodzi tysiące izb, zaś ulic lokal-ulegna rozbiórce domy o łącznej ilości 130 tysięcy izb. Można mieć uzasadnioną nadzieję, że do wspomnianego roku 1980 pozbedziemy się takich dziwolągów jak budynek przy rogu ul. Zamenhofs i Al. Kościuszki, który podaje w wątpliwość funkcję całej tej arterii, czy spełniający podobną „rolę” budynek wzdłużnie tarasujący drogę na rogu ul. Limanowskiego i Zachodniej.

## Były sobie dwa „Motozbyty”

„Motozbyt” warszawski powołał przed komisję arbitrażową „Motozbyt” łódzki o 300 tys. złotych odszkodowania.

Podległe łódzkiemu „Motozbytowi” i mające siedzibę w Łodzi Przedsiębiorstwo Zaoptowania Sprzętu Samochodowego miało w myśl umowy warszawskiemu „Motozbytowi” — detalicznie dostarczyć określoną ilość części zamiennych. I nie dostarczyło.

Tuż przed wygaśnięciem terminu umowy stołeczny „Motozbyt” oddał sprawę do arbitrażu. Komisja arbitrażowa skargę oddaliła w myśl przepisu, mówiącego, że kiedy umowa straciła gospodarcze uzasadnienie, można ją uważać za rozwiązana.

Moga istnieć dwa powody, dla których warszawski „Motozbyt” nie domagał się obiecanych części, tylko czekał wygaśnięcia terminu: albo nie chciało mu się handlować i liczył, że to co straci na marży, odbije sobie odszkodowaniem, albo też części nie były potrzebne na rynku. Komisja arbitrażowa oparła się na tej drugiej przesłance, nie chcąc imprować przedsiębiorstwu handlowemu awersji do handlowania.

W ostatnich dniach warszawski „Motozbyt” odwołał się do drugiej instancji — Głównej Komisji Arbitrażowej. Obojetnie, jaki obrót przyjmie sprawa, dla nas wniosek jest jasny: „Motozbyt” się sadza, a część zamiennych, poszukiwanych przez amatorów motoryzacji — jak nie było, tak nie ma.

## DOWÓD (nieudolności)

Dantejskie sceny rozgrywają się codziennie od 8 do 12 w referacie ewidencji ludności dzielnicy Polesie (Wólczańska róg Zielonej), który m. in. zajmuje się sprawami nowych dowodów. Kilkadziesiąt stłoczonych osób w napięciu czeka chwili kiedy dostanie się przed oblicze jednej z trzech urzędniczek. Wymiana zdań między tymi co przyszedli załatwić, a załatwiającymi — dostarcza dodatkowych atrakcji przerywając nudę i beznamiętność oczekiwania. Niech nikt kto słaby lub chory na serce nie waży się przychodzić. W pokoju jest duszno, a pozostające do dyspozycji oczekujących krzesła (kilka) wiecznie zajęte. Kiedy zbliża się godzina 12 zatrząskują się drzwi Urzędu. Pozostający w nim, a jeszcze nie załatwieni otrzymują karteczki, które są znakiem rozpoznawczym na wypadek, gdyby jakiś niegodny profan wdął się mimo zamknięcia.

Rozumiemy, że urzędniczki pracują b. ciężko. Ale kto na litość boską wymyślił tak beznamiętny system organizacji, a właściwie dezorganizacji ich pracy? Przy każdej z trzech pań leży stos ksiąg. Przy załatwianiu każdego z interesantów urzędniczka w pośpiechu wyszukuje potrzebną księgę, w księdze jego nazwisko. Załatwia się razem jednym „ciurkiem” wszystkich, bez względu na rodzaj „dowodowej sprawy” z którą przyszedł np. z wnioskiem o dowód (jego sprawdzanie trwa b. długo, wnioskiem o dowód przy wypełnianiu, urzędniczki tłumaczą, ludzie pytają itp.), z prośbą o przystawienie pieczątki w nowym dowodzie informującej o miejscu zameldowania jego posiadacza. Załatwianie tej sprawy trwa około 2-3 minut, aby ją załatwić trzeba stracić około 2 godzin, nie licząc dojazdu. Dziesiątki ludzi zwalnia się w tym celu z pracy.

Najwięcej czasu pochłania załatwianie administratorów. Przychodzą z plikiem ksiąg, każda z nich kryje parę spraw meldunkowych, urzędniczki instruują administratora i administratorów, oni tłumaczą o co chodzi itp.

Czy obliczył kto, ile godzin pracy pochłania załatwienie nowego dowodu? A nerwy penentów, które bądź co bądź też się liczą?

Istnieje w Łodzi Towarzystwo Naukowej Organizacji i Kierownictwa, ba nawet Instytut Organizacji Pracy, który wprawdzie zajmuje się przemysłem, ale skupia przecież ludzi mogących coś i w tej sprawie poradzić, są na pewno w Łodzi ludzie, którzy potrafili znaleźć wyjście z sytuacji. Trudno wytłumaczyć, dlaczego np. trzeba załatwiać sprawy administracji domów razem z dowodami, dlaczego ten co potrzebuje pieczątki nie może być załatwiony przez jedną panią, ten co sprawdza wnioski — przez inną. Są projekty wymiany dowodów na miejscu w zakładzie pracy — może z nich skorzystać? Zresztą trudno nam coś radzić — radzimy tylko zmienić system załatwiania. Ludzie klną w „żywy kamień”...

Redaguje Zespół s Wydawców „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” s Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 s Wzrostki prenumeratyi miesięcznie 2 zł, kwartalnie 6 zł. — s Redakcja nie odpowiada za reklamacje nie zwraca s Prenumerata przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Il- stonosze oraz PIPiK Ruch — s zaopiniowaniem na „Odgłosy” Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwicki 17 s Zam. 2054. VII. 62. A-4